Numer 22. Hal. poczt. opł. rycz. Dnia 2 Czerwca 1929



Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

W karnawale.

Jeden pan pełza po ulicy na czworakach, drugi podchodzi. Oczywiście rzecz dzieje się o 3 w nocy.

— Jasiu, to ty? Co tu robisz?

— Szu-szukam setki!

— Se-setki złotych?

— Tak.

— To — pomogę ci...

Po kwadransie:

— A napewno tutaj zgubiłeś?

— Ja ci nie po-powiedziałem, że zgubiłem, tylko, że szu-szukam.



Słuszna kara.

Żona: — Czy ukradziony pocałunek podlega karze?

Mąż: — Naturalnie; ja raz jeden tylko w swojem życiu ukradłem tobie pocałunek i zostałem za to skazany na dożywotnie ciężkie roboty.



Niesamowity wypadek.

— Wyobraź sobie, jaki dziwny miałem wczoraj wypadek; wyrzuciłem z mojej knajpy pijaka, bo się awanturował, a gdy mu się dobrze przyjrzałem, okazało się, że to byłem ja sam!

Za wcześnie.

— Pan hrabia tak wcześnie się ożenił.

— A tak, trochę za wcześnie, miałem wówczas tylko 100 tysięcy długów.



Zawiedziona oszczędność.

— Przez trzy lata zupełnie nie paliłem. Zaoszczędziłem w ten sposób 2 tysiące złotych, złożyłem je w banku...

— Doskonale się składa. Możebyś wobec tego pożyczył mi ze 300 złotych?

— Tak, ale bank zbankrutował... Możebyś mnie poczęstował papierosem?



Po ślubie.

— Krótko po ślubie pożyczył mój zięć odemnie 1000 zł.

— I otrzymałeś co z powrotem?

— Tak, moją córkę!

Przesadza.

— Panno Janko, miłość moja do Pani wzrasta z dnia na dzień.

— Pan przesadza.

— Dobrze, powiedzmy więc: co dwa dni.

Numer 22. Rok XII. Kraków, dnia 2 Czerwca 1929

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor.cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301.

Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Uroczystość Bożego Ciała.

Boże Ciało! Rozlega się śpiew, lud w uroczystym nastroju sypie się z kościoła na odświętnie przybrane drogi i ulice, przy których pobudowane są specjalnie na dzień ten ołtarze. Wśród bicia dzwonów zjawia się Sam Pan Jezus, ukryty w Przenajświętszym Sakramencie, a przed nim niby grono aniołków biało ubrane dziewczątka sypią do stóp Jego wonne kwiaty. Chorągwie radośnie powiewają, a błękitne niebo uśmiecha się wesoło, że lud oddaje Panu swemu hołd i uwielbienie.

Boże Ciało to dzień tryumfu Pana Jezusa, przebywającego rok cały w Najświętszym Sakramencie, ukrytego w Tabernakulum, a dziś wychodzącego poza mury kościoła i dalej pomiędzy zagrody i chaty wieśniacze.

Oto Jezus Chrystus cudowną Swoją mocą wstąpił do nieba z ciałem i duszą, a jednak nas nie opuścił, ale pozostał z nami pod postacią chleba i wina i aby nam to przypomnieć, w dzień Bożego Ciała zjawia się wśród nas w całym majestacie i odbiera hołd Mu należny. Tylko sama mądrość Boska mogła się zdobyć na tak doskonały wyraz miłości, upokorzenia się, oddania, aby pozostać wśród nas w zimnych murach świątyni. I tylko w ten jeden dzień, w dzień Bożego Ciała opuszcza ciasne Swe więzienie miłości i jako Stwórca i Król całego stworzenia w uroczystym pochodzie odsłania nieco Swój Boski Majestat, błogosławiąc domom i ludziom, i łanom i lasom, i rzekom i zdrojom.

„Śmiej się niebo, tańcuj ziemi, zagrzmij morze wały swemi! Skaczcie pola, pląszcie lasy, blisko są żądane czasy!“ — powiada w jednym z swych utworów książę poezji polskiej, Jan Kochanowski i rzeczywiście w dniu tym cała ludzkość, choćby nie wiadomo jak w grzechach pogrążona wyrywa się ku Zbawicielowi swojemu.

Wprawdzie Chrystus Pan, jako Król królów, nie potrzebuje tego przepychu, który wierni w dzień Bożego Ciała dlań przygotowują, ale w każdym razie i nie gardzi nim. Wszak kiedy przebywał na ziemi, nie ganił i nie odrzucał żywych objawów radości, które pobożne dusze Mu okazywały, gdy odbywał tryumfalny swój wjazd do Jerozolimy.

Z pewnością Pan Jezus mile spogląda na ozdobę ulic i domów naszych i mile przyjmuje nasze pienia wesołe, ale te wszystkie objawy zewnętrzne naszej czci są Mu tylko wówczas przyjemne, jeżeli za nimi idzie i zewnętrzna cześć dla swego Stwórcy i Pana.

Uroczystość Bożego Ciała obchodzi Kościół katolicki już od roku 1264. Zaprowadził ją papież Urban IV. W odnośnym dekrecie podał trojaki powód do ustanowienia tego święta: wzniosłość tajemnicy Bożej, potrzebę zawstydzenia odszczepieńców, przeczących prawdzie tej nauki i wolę, którą Bóg objawił kilku pobożnym osobom.

Zakonnica Juljana w Leodjum widywała nieraz na modlitwie księżyc, którego krewędź była nieco przyćmiona. Na jej prośby dał jej Bóg do zrozumienia, że Kościołowi brakuje jednej z największych uroczystości, to jest obchodu ustanowienia Najświętszego Sakramentu Ołtarza. W roku 1246 zwierzyła się z tem objawieniem biskupowi leodyjskiemu. Uroczysty obchód zaprowadzono najpierw w kilku djecezjach, a później Urban IV rozszerzył go na cały Kościół.

Ale w dzień ten nie wystarczy śpiewać „Twoja cześć chwała!“ lub inne piękne pieśni i chodzić z procesją od ołtarza do ołtarza, lecz w głębi duszy trzeba oddawać cześć Jezusowi Chrystusowi, utajonemu w Przenajświętszym Sakramencie i modlić się nietylko za siebie, ale i za braci zbłąkanych, którzy zapomnieli o Panu swym i którzy może się wstydzą, że są dziećmi Jego. Modlić się należy również za innowierców, którzy dotychczas nie poznali prawdziwej wiary Chrystusowej i trwają w błędach innych religij.

ANTONI ST. BASSARA.

Branki tatarskie.

Powieść na tle historycznem.

ROZDZIAŁ VII.

Podział łupu.

Mamaj szedł pospiesznym marszem, aby jak najdalej odsunąć się od możliwego pościgu. Chciał przed nocą dojść w okolicę, gdzieby się czuł zupełnie bezpieczny i gdzieby mógł sam odpocząć i dać wypocząć swoim towarzyszom. Trzeba było też dać wytchnienie i jeńcom, których stan był okropny. Ze zdrowych i krzepkich niedawno ludzi stali się oni teraz w ciągu jednego dnia podobni raczej do widm, aniżeli istot żyjących. Okurzone i zbrudzone ich szaty, pomazane krwią i błotem twarze, oczy nabrzękłe od łez, czyniły ich podobnymi do upiorów, pojmanych jakąś mocarną ręką i pogrążonych w niemocy. Przeżyli oni tyle w ciągu krótkiego czasu, ile niejeden człowiek w ciągu całego życia przeżyćby nie potrafił.

Na jednym z koni leżał związany z krwawiącą raną na czole Jasiek Malik. Krew sączyła się cienkim strumieniem i zalewała mu oczy; nie mógł jej jednak obetrzeć, gdyż nie dołał dosięgnąć twarzy związanemi rękami. Przechylał jeno głowę to w tę, to w ową stronę, aby krew skierować dalej od oka, ale nie udawało mu się to i już zaledwie przez skrzepy krwi mógł zobaczyć jasne słońce, chylące się ku zachodowi.

— Dobijcie mnie! — prosił. — Nie zniosę już dłużej tej męki, na jakąście mnie skazali!

Nadjechał ku niemu Tatar i śmignął mu przed oczyma nahajem:

— Leż psie! — krzyknął — żebym cię tem oto nie przejechał!

Jasiek ostatnim wysiłkiem zwrócił twarz w stronę Tatarzyna, a widząc, że ten prawie ociera się o konia, na którym leżał, naprężył się całą mocą i w sam brzuch kopnął ordyńca. Zwalił się Tatar z konia na ziemię, ale i dla Jaśka wysiłek był zbyt wielki; krew trysnęła szerszym strumieniem z jego czoła, oczy stanęły w słup, z piersi wydarł się jeszcze jęk jeden, jęk ostatni i biedny Jasiek zakończył życie.

Porzucono go na drodze na pastwę dzikich zwierząt. Nie pomogły prośby Baśki, nie pomogły błagania Hanusi, Mamaj nie pozwolił nawet na zakopanie zwłok, gdyż nie chciał tracić czasu na niepotrzebne, zdniem jego, czynności.

Po wypadku tym Baśka straciła swój dotychczasowy humor. Była zagniewana na Jussufa, że ten nie wywarł na Mamaja swojego wpływu, aby uczynić zadość prośbom dziewcząt.

— Wy z nami wszystkimi tak zrobicie — powiadała, gdy Jussuf odzywał się do niej. — Jesteście bydlęta, a nie ludzie.

— Na wojnie inaczej być nie może — tłumaczył się Jussuf.

— To nie wojna, ale rozbój! To zwykłe morderstwo, to barbarzyństwo.

Jussuf zdawał się słów dziewczyny nie rozumieć. Był on od małego chłopca przyzwyczajony do czynów, gdzie słowa litość, sprawiedliwość, były nieznane. Najeżdżano, palono, mordowano, a po tego stronie była sprawiedliwość, kto miał siłę większą. Ten nie miał słuszności, kto był słabszy, kto się dał pokonać.

— Łotry jesteście! — karciła go Baśka.

Przez umysł Jussufa zaczęły się przesuwać jakieś myśli inne, których dotychczas nie znał.

— Niby dlaczego? — zapytał.

— Jak to dlaczego? A czyż się to godzi napadać spokojnych ludzi, mordować ich, lub wiązać, jak bydlęta i wieźć, nie wiadomo gdzie i poco?

— A wasi nie robią tak samo?

— Nasi? — oburzyła się Baśka. — Nasi nie najeżdżają innych, w czasie walki biją się uczciwie, a gdy pobiorą jeńców, nie znęcają się nad nimi, ale wydzielają im kawał ziemi, na której mogą żyć i gospodarzyć, jak im się tylko podoba.

— To mogą i uciec?

— Mogą, ale nie uciekają; przynajmniej rzadko. Biorą sobie za żony nasze dziewczęta i żyją uczciwie. I wy znacie przecie naszych Lipków, którzy się wam już nieraz dali dobrze we znaki.

Jussuf popatrzył badawczo na Baśkę. Potarł czoło, jakby chciał z mózgu wypędzić jakąś mśl, która się tam wkradła, a gdy mu się to nie udało, zapytał:

— A może i ty masz jakiego Lipka?

Przed oczyma duszy Baśki stanął teraz Ibrahim, który tam może teraz w Jampolu rozpacza po jej utracie, który wargi zagryza z bolu i poprzysięga zemstę dla tych, którzy mu jego dziewczynę uprowadzili. Spojrzała na Jussufa, który jej wielce Ibrahima przypominał, który, jak on, był słusznego wzrostu, który, jak on, zdradzał we wszystkiem tę mieszaninę krwi polskiej z tatarską.

Na podstępne pytanie Jussufa Baśka nie odpowiedziała wprost. Kłamać nie chciała a prawdy powiedzieć nie mogła, gdyż wiedziała, że podrażniłoby to Tatara i mogło wywołać niepożądane następstwa. Spostrzegła bowiem, że Tatar odnosi się do niej zupełnie nie po tatarsku, ale że w głębi jego dzikiego serca kiełkuje jakieś głębsze uczucie, jakieś szlachetniejsze i trwalsze. Cieszyło ją to i smuciło zarazem. Cieszyło, gdyż spodziewała się, że postępując z nim zręcznie, będzie mogła niejedno uzyskać dla siebie i swych towarzyszek, ale i smuciło, bo rozpalone uczucie tatarskie wrazie niepowodzenia może go popchnąć do nieobliczalnych czynów. Postanowiła jednak urabiać go i w swych rękach przemieniać z barbarzyńcy w człowieka.

Nie odpowiedziała więc wprost na pytanie.

— Ot! ja mam! — rzekła — niedolę, łzy i płacz koło siebie... I was — dodała — którzy czyhacie na naszą zgubę.

— Wam się nic nie stanie! Wam włos z głowy nie spadnie! — rozpalił się Jussuf i takim ognistym wzrokiem objął dziewczynę, że ta poczęła kraśnieć pod jego promieńmi i giąć się, a strach przeszył jej serce, aby ten jej opiekun nie rzucił się na nią i nie zmiażdżył jej w swych uściskach.

Podniosła jednak na niego swe oczy, pod których potęgą on zaczął się kruszyć, maleć i przemieniać się w jakiegoś znikomego robaczka.

Nie odrzekł nic, ale śmignąwszy kańczugiem swojego wierzchowca, odsadził się od reszty pochodu, aby ochłonąć nieco, aby pozbyć się ognia, który go jął palić i od przytomności odwodzić.

Już księżyc zmógł cienie wieczoru i jasnym blaskiem zapłonął na niebie, kiedy oddział Mamaja z jasyrem i łupami stanął w pobliżu Skrułan, położonych po lewym brzegu Prutu. Zaszyto się w trawy i rozłożono obozowiskiem. Tu według polecenia Achmeta miano czekać na przybycie reszty czambułu po spodziewanem zwycięstwie nad Stachowymi Lipkami.

Tatarzy rozstawili straże, rozpalono ogniska. Jeńcom pozdejmowano więzy, gdyż teraz nie obawiano się ucieczki, albowiem odległość od Jampola była już zbyt wielka, a powtóre jeńcy byli tak zmęczeni, że gdyby byli nawet chcieli uciekać, to wyczerpane do

ostatnich granic siły ich byłyby im na to nie pozwoliły. Zresztą i straż czuwała.

Oswobodzeni z więzów jeńcy to popadali na ziemię i wkrótce zasnęli snem kamiennym, to inni tulili się do ogniska, aby tu zaznać tego ciepła, jakiego ich pozbawiła dzicz tatarska. Kobiety wodziły obłąkanym wzrokiem za dziećmi swemi, które Tatarzy spędzili w jedną gromadkę i nie pozwolili się zbliżać do starszych. A w środku tego strasznego obozowiska usiadły Hanusia, Ksenia i Baśka, jak trzy siostry, jak trzy towarzyszki niedoli, przejęte tylko tem pragnieniem, aby i w przyszłości mogły być razem, by mogły pocieszać się wzajemnie i bronić wspólnie wrazie potrzeby. Ksenia i Baśka oparły swe główki na ramionach Hanusi i myśl swą skierowały wszystkie w stronę Jampola, tam, gdzie pozostali ich umiłowani chłopcy.

Po niedługiej chwili zbliżył się ku nim Jussuf. Z sakwy wyjął nieco sucharów i położył przed dziewczętami. Jeden z Tatarów przyniósł im trochę wody i kobylego mleka. Dziewczęta, choć nie przyzwyczajone do takiego pożywienia, spożyły wszystko ze smakiem, gdyż przez dzień cały nie miały nic w ustach.

Jussuf troszczył się o nie, gdyż nie poprzestał na dostarczeniu im pożywienia, ale przyniósł nieco łachmanów, aby sobie je podścieliły i przykryły nimi dla wygodniejszego odpoczynku.

Wkrótce cały obóz pogrążył się w śnie głębokim, a jeno straże czuwały, aby jakiś nieproszony gość nie przerwał strudzonym ich odpoczynku.

Minęła noc spokojnie, zaświtał jasny ranek. Obóz począł drgać i budzić się do nowego życia. Podniecono dogasające ogniska, a w jasnych jego płomieniach zaskwierczały kawały końskiego mięsa z jakiegoś padłego w drodze zwierzęcia. Jeszcze ścierwo dobrze się nie zagrzało, a już ordyńcy poczęli je rozszarpywać i z wielką łapczywością zajadać. Niezastygła krew spływała im po brodach, czyniąc ich podobniejszymi do dzikich zwierząt, aniżeli do ludzi. Niedogryzki i kości rzucali jeńcom, ale ci nawet nie oglądali się za tymi przysmakami, gdyż woleli z głodu ginąć, aniżeli jeść to obrzydliwe ścierwo.

Nie chcieli jednak ordyńcy ich śmierci, więc też wydostali z sakiew nieco jakiejś kaszy i nawarzyli jej dla swego jasyru. Obrzydliwe to było, ale przecież nie krwawiło i nie cuchło. Więc też rzucono się na to jadło i zaspokojono przynajmniej głód największy.

Jeszcze nie skończono tego skromnego posiłku, gdy od straży dano znać o zbliżających się jakichś jeźdźcach. Tatarzy momentalnie zerwali się na nogi i poczęli przygotowywać na możliwe spotkanie. Wiązano przedewszystkiem jeńców. Pospiesznie zwijano obóz

Zatrzymano się jednak wkrótce. Na spienionych koniach wpadło do obozu dwóch znajomych Tatarów z Achmetowego czambułu. Przynieśli oni wieść o strasznym pogromie w lesie bilcyckim. Zaczęli przybywać i inni, a po pół godziny zebrało się ich kilkunastu. Przypędził i Achmet. Rozwścieczony rzucił się na jeńców i, mszcząc się na nich za swoją klęskę, począł ich okładać bykowcem i naglić do powstania. Pod wpływem strachu nie wiedział, co mu czynić wypada: czy uchodzić, czy tu czekać dalszego pościgu.

Przyskoczył do dziewcząt, aby je przywitać po swojemu. Już bicz zaświstał w powietrzu i miał spaść na plecy Baśki, kiedy nadbiegł Jussuf i chwycił silną dłonią Achmeta za rękę.

— Ani się waż! — wrzasnął — bo śmierć!

Skręcił się Achmet w silnym uścisku, zapałały oczy jego gniewem, ale musiał ustąpić przed stanowczym rozkazem swojego podwładnego.

Puścił Jussuf prawicę jego, ale choć Achmet zaniechał swej napaści na dziewczęta, musiał jednak gniew swój wyładować na kim innym. Podszedł mu pod rękę przypadkowo jakiś Tatar. Achmet pchnął go buzdyganikiem w pierś i na miejscu życia pozbawił.

— Tych możesz i wszystkich — szepnął Jussuf — ale od Laszek ci wara.

Achmet po czynie tym odsapnął i uspokoił się nieco.

Rozbitków przybywało coraz więcej, a byli między nimi i tacy, którzy nie uchodzili w szalonym popłochu, ale po klęsce kołowali nieco po lesie bilcyckim, aby się przekonać, co zwycięscy zamierzają uczynić. I ci właśnie twierdzili, że Polacy nie przedsięwzięli narazie dalszego pościgu, ale na pobojowisku zarządzili dla swych ludzi odpoczynek.

Na podstawie tych wiadomości postanowił Achmet przeleżeć tu jeszcze z pół dnia, albo i dzień cały dla należytego wypoczynku koniom i ludziom, dla zebrania wszystkich niedobitków i wreszcie dla podziału łupu.

Po kilku godzinach zebrało się do ośmdziesięciu ludzi. Achmet kazał zgromadzić cały jasyr w jedno miejsce, a obok niego złożyć zabrane łupy. Ordyńcy otoczyli tę część obozowiska półksiężycem, pośród którego stanęli co znakomitsi Tatarzy z Achmetem na czele. Byli to przywódcy poszczególnych obozowisk, którzy kupą ciągnęli na wyprawę, aby się potem rozbiedz i popowracać do swych rodzin. Na nieszczęśliwą ową wyprawę wyruszyło ich po kilku i kilkunastu z każdego koczowiska, a teraz, gdy się zliczyli i rozglądnęli, przekonali się, że pozostało ich po dwóch i trzech, a zniektórych nie było zgoła żadnego. Była to klęska znaczna, ale w każdym razie dla pozostałych przynosiła dość dużą korzyść w postaci większej działki z zabranego łupu.

Rozpoczął się podział łupu. Achmet wyciągnął krzywą szablę z pochwy i skierował ją naprzód ku swej piersi, a potem wskazał nią na Hanusię i Ksenię. Ordyńcy wiedzieli, co to znaczy, a mianowicie, że Achmet przeznacza te dwie dziewczęta dla siebie, ale wiedzieli i to, że Achmet z każdej wyprawy przeznacza dla siebie przynajmniej trzy ofiary, więc oczekiwali, ku której jeszcze skieruje się koniec jego szabli. Achmet długo i uporczywie wpatrywał się w twarz Baśki. Znać było, że waha się, czy ją przeznaczyć dla siebie, czy też oddać komu innemu, już zgóry upatrzonemu. I byłby może przeznaczył ją dla siebie, gdyż od pierwszej chwili dziewczyna ogromnie się mu spodobała, gdyby nie ostrzegawczy wzrok Jussufa, który powiadał więcej, aniżeliby to mogły były powiedzieć słowa.

Achmet nie spieszył się jednak. Chciał dać poznać Jussufowi, że czyni wielką ofiarę, odstępując mu dziewczynę i zyskać sobie przez to jego większą wdzięczność. Grała tu przy tem pewna chęć zemsty, gdyż nienawidził Jussufa, jako tego, który nie uznawał jego wyższości i sprzeciwiał się niejednokrotnie jego rozkazom. Bawił się teraz z nim i próbował jego cierpliwości. Ale cierpliwość Jussufa była już na wyczerpaniu. Zagryzał wprawdzie wargi i hamował się, ale równocześnie ręka jego spoczęła na rękojeści kindżału i była przygotowana na wszelką ewentualność.

Spostrzegł to Achmet, a nie chcąc struny przeciągać, gdyż wiedział, że Jussuf ma wielu zwolenników wśród Tatarów, skierował ostrze swej szabli w stronę Marcysi, przeznaczając ją na swą własność.

Poskoczyli ordyńcy i odłączyli wybrane trzy dziewczęta od reszty jeńców. Pozostała Basia sama. Nie wiedziała, jaki los ją czeka. Czyżby miano ją rozłączyć z Hanusią i Ksenią. Zwróciła więc wzrok ku Jussufowi i z piersi jej wydarło się jedno słowo:

— Jussuf!

Zrozumiał ten okrzyk Tatar. Nie czekając na przydział Basi przez Achmeta, pobiegł ku niej, a ująwszy za rękę, podprowadził tam, gdzie stały jej towarzyszki.

— Nie obawiaj się! Póki ja żyję, nic was nie rozdzieli wbrew waszej woli. Tyś dla mnie przeznaczona i nikt mi cię nie odbierze! A ja i Achmet z jednego osiedla jesteśmy.

Nie zgadzało się to z zwyczajami tatarskimi, aby ktoś sobie sam zdobycz z podwładnych wyznaczał, ale Achmet nie sprzeciwiał się postępkowi Jussufa.

Podział żywego towaru następował dalej. Jedni otrzymywali niewiasty, inni mężczyzn, a jeszcze inni dzieci, a dla tych, dla których brakło jeńców, rozdzielano różne kosztowności, suknie i srebra, jakie zrabowano podczas najazdu. Znakomitsi dostawali i jeńców i kosztowności. Wprawdzie może niejeden czuł się pokrzywdzony, ale nikt nie oponował, gdyż zawsze musiano się zgadzać z wolą dowódcy, gdyż inaczej nigdy nie byłoby porządku.

Od Jussufa dowiedziały się dziewczęta, który ich teraz na krok nie odstępował, że teraz ordyńcy podzielą się na mniejsze grupki, z których każda na swoją rękę pociągnie do swych koczowisk.

Jakoż gdy dokończono podziału, obozowisko poczęło się ruszać i rozpadać na mniejsze grupki. Teraz dopiero jeńcy zrozumieli, co ich czeka. Dotychczas, gdy byli razem, czuli się jakby jedna rodzina i łudzili się nadzieją, że skądś przyjdzie jakieś wybawienie, które ich powróci w strony rodzinne. Teraz zrozumieli, że każdy z nich będzie zdany sam na siebie i od nikogo ratunku, ani pocieszenia spodziewać się nie może. Odtąd każdy z nich miał już swojego pana, który mógł z nim zrobić, co mu się tylko spodobało. Odtąd wspólna ich dola kończyła się bezpowrotnie; musieli się rozstać już na zawsze.

Kiedy ordyńcy jęli się rozpadać na mniejsze oddziałki, wśród jeńców wybuchł lament i rozpacz nie do opisania. Tu odrywano dziecko od matki, tam żonę od męża; odzielano brata od brata a młodzieńca od umiłowanej dziewczyny.

A ordyńcy naglili do pośpiechu i biczami poganiali opornych, a ci przeklinali ziemię i niebo i przysięgali ciemężcom zemstę straszną, do wykonania której byli jednak bezsilni. Matka wyciągała ręce ku katowanemu dziecku, a dzieci usiłowały wyrwać się z rąk oprawców i podążyć za swemi rodzicielkami Wszystko jednak napróżno.

Walek Jucha, który widocznie miał ręce słabo skrępowane, zdołał sobie je w jakiś sposób wyswobodzić i momentalnie rzucił się na Tatarzyna, który obok niego postępował. Zrozpaczony chłopak chwycił tak silnie swego oprawcę za kark, wpił mu paznogcie w gardło, że nim ten mógł się zorjentować, co się z nim dzieje, już leżał martwy na ziemi. Wprawdzie rzucili się ordyńcy na napastnika, odciągnęli go z wielkim trudem od jego ofiary, ale Tatarzyn już nie żył.

Zbito nieszczęśliwego Walka aż do utraty przezeń przytomności, skrępowano powrozami i na pół martwego przytroczono do konia, aby więcej nie mógł się pokusić o odzyskanie swobody.

Obóz opustoszał. Jeszcze czas jakiś świstały w powietrzu nahajki i powrozy, którymi poganiano konie i jeńców, jeszcze czas jakiś przeszywał powietrze rozpaczny krzyk ofiar najazdu tatarskiego, poczem wszystko ucichło, step zapadł w swą ponurą senność, a Tatarzy wraz z zachodzącem słońcem znikli bezpowrotnie w jego olbrzymiej przestrzeni. Ciąg dalszy nast.)

„Strach, który obalił człowieka".

Opowiadano o strachach. Światło lampy zawieszonej u pułapu dosyć dobrze oświetlało dużą izbę, pełną gospodarzy, gospodyń, czerstwych parobczaków i dorosłych krasawic, lecz w głębi po kątach czaiły się tajemnicze mroki, niepokojące przedewszystkiem malutkich słuchaczy, którzy też trwożnie odsuwali się od ciemnych czeluści pieca i niewidomych przestrzeni pod łóżkami, by „coś" stamtąd nie wylazło. Właśnie jeden stary i poważny gospodarz, we wsi nawet radny, mówił, jak to raz założyło się dwóch parobków o litr gorzały, że jeden z nich przejdzie, o północy przez cały cmentarz tam i z powrotem.

W izbie wszystkich twarze zaciekawione, oczy rozgorzałe uważają na każdy gest opowiadającego, chwytają każde słowo, każdy ciekawy, co się później stało. Najbardziej zaś Staszek od Tomaszowej. Cały przemieniony w słuch, znieruchomiał przykucnięty pod przypieckiem i wchłaniał w chłopięcą wyobraźnię każdy ruch, każdy momencik tyczący bohatera opowieści. Poprostu przeżywał razem z nim.

— No i nie przeszedł — kończył Grzela (tak się opowiadający nazywał), pociągnął dymu z fajki i odkrząknął znacząco — bo tak okropne strachy go opadły, tak nań natarły i potarmosiły, że uciekał nikiem oparzony i nie zatrzymał się aż u grabarza. Cały miesiąc później chorował i o mało fjoła nie dostał.

Staszka opanowały dziwne refleksje. Smutny był, że ten parobek uląkł się djabłów (bo ktożby inny mógł straszyć?). Postanowił więc sam spróbować tej sztuki. Dochodziła godzina 11. Wymknął się cichaczem z izby, biegiem przebył przestrzeń między chatą i cmentarzem i był już u furtki przybytku umarłych. Serce zamarło mu w piersiach i przestało na moment kołatać. Za chwilkę miał oko w oko stanąć może z samym belzebubem i skruszyć z nim kopje. Tam, w słabem świetle w kabłąk skrzywionego księżyca stały krzyże czarne od deszczów i wichrów, nagrobki pokryte mechem, tą patyną starych murów, mogiły, kurchany, grobowce z całemi pokoleniami istnień ludzkich. W głębi, obok ścieżki żwirowej, stała szara szopa, gdzie krajano topielców, wisielców, ofiary morderstw i t. d. i przerażała ciemnością wnętrza, widnego otworami, skąd wybito szyby.

Staszek opanował już umysł i ciało, zaczerpnął powietrza i całym pędem, ile miał sił w nogach, puścił się środkiem cmentarza. Wiatr zachichotał mu koło uszu, żwir wylatywał z pod pięt, aż się iskry sypały a poły od bluzy furkotały jak zwarjowane. Był już w połowie.

Naraz, otrzymał tak silne uderzenie w piersi, że zatoczył się i runął, jak gromem rażony. Krew zamarzła mu w żyłach.

Ale natychmiast, całkiem nieświadomie, pchnięty tytaniczną siłą samozachowawczego instynktu, zerwał się na równe nogi i nim przyszedł do siebie, był już daleko we wsi poza obrębem cmentarza. Odetchnął z ulgą człowieka, który się wymknął z objęć piszczel kostuchy.

Nazajutrz, gdy już słonko wyszło wysoko ponad horyzont, poszedł zobaczyć miejsce nocnego spotkania.

Zagadka się wyjaśniła. Oto, gdy biegł jak huragan, nastąpił na jeden brzeg obręczy leżącej na środku ścieżki i ta, podniósłszy się do pionu, zadała mu to tajemnicze uderzenie.

Roześmiał się wesoło z własnych imaginacyj i głupoty. *Edward Cygan.*

STARY, DOBRY ZNAJOMY.



Długo oczekiwana wiosna przybyła nareszcie i ustroiła ziemię zielenią i kwieciem. A wraz z nią poczęły ściągać z dalekich stron gromady skrzydlatych uciekinierów, którzy to przed nadejściem zimy opuścili swą ojczyznę, aby szukać gościny w dalekich krajach. Jesienią pożegnały nas jaskółki, pożegnały bociany, pożegnały i inne ptaki, nie dlatego, aby im tu było źle na polskiej ziemi, ale dlatego, że ta ziemia podczas zimy stała się dla nich macochą, odmawiając im nawet najskromniejszego pożywienia.

Opuściły nas jaskółki, gdyż ziąb jesienny wytępił wszelkiego rodzaju muszki, które były dla nich pożywieniem, opuściły bociany, gdyż żaby, ich pokarm codzienny, znikły z wód i stawów. Nie mogły zostać dłużej, gdyż z głodu musiałyby poginąć.

I poszły w ciepłe kraje, gdzie przez rok cały nie brak tam dla nich pożywienia, gdzie całe życie swoje mogłyby przepędzić bez troski. Ale gdy u nas wiosna nadeszła i gdy instynktem swym poczuły, że i u nas głód ich nie zmoże, zatęskniły za swą ziemią rodzinną i powróciły z radością do swej ojczyzny.

Zatrzepotała w powietrzu jaskółeczka, uganiająca za muszkami, zaklekotał bocian na kalenicy dachu, a w sercach ludzkich zapanowała radość, że minęła już zima macocha i świat zerwał się do nowego życia.

Zbudzone blaskami wiosennego słońca wybiegły dziatki na polankę kwiecistą, gdzie dąb stuletni szumi od poranku do wieczora, gdzie wartki strumyk szmerem swoim wydzwania pieśń radosną. A tam na długich swoich nogach kroczy poważnie bocian, wypatrując zdobyczy dla siebie i dziatwy swojej. Idzie dumny, jakby król, i nie zwraca nawet uwagi na dzieci rozpromienione jego widokiem. Wie, że mu krzywdy żadnej nie zrobią, gdyż jest on ich starym, dobrym znajomym.

Życie bociana i innych ptaków przelotnych jest symbolem tęsknoty nietylko ludzi, ale i wszelkich istot żyjących za krajem rodzinnym. Weźmy na przykład taki kwiat polny, którego ojczyzną są niwy i łąki, zasadźmy go do najpiękniejszego wazonu, zasilajmy go najpożywniejszemi pokarmami, żył on tam nie będzie całą pełnią życia, ale wegetował tylko, gdyż zabija go tęsknota za ziemią rodzinną. Przenieśmy drzewo polne do najwspanialszego pałacu, otoczmy je wszelkiem staraniem, to ono i tak tęsknić będzie za tą ziemią czarną, na której wyrosło. Sprowadźmy lwa lub tygrysa z krain dalekich i dajmy mu pożywienia, ile i jakiego zapragnie, to zwierzę to w smutku będzie pędziło życie z tęsknoty za swą ojczyzną.

A cóż dopiero mówić o człowieku, którego los wyrwie z ziemi ojczystej, a rzuci w obce strony? Z doświadczenia wiemy, że syn chłopski, choćby posiadł najwyższe nauki, choćby mu na niczem nie zbywało, to przecież zawsze, gdy zmuszony jest przebywać wśród murów miejskich, tęskni za tą chatką rodzinną, w której pierwszy raz ujrzał światło dzienne, w której przepędził pierwsze dni życia swojego. I w chwilach smutków swoich, jak i w dniach największej radości zwraca się ku niej i tęskni za nią.

Ach! jakże tęskni już nie tylko za tą chatką, ale i za wioską swoją i za krajem swym, gdy go losy rzucą poza granice jego Ojczyzny, wśród obcych ludzi, różnych mu językiem, a nieraz i wiarą! O ile jest młody, to krzepi się nadzieją, że czas jakiś, za lat kilka może, powróci znów do ziemi swojej rodzinnej i pieścił się z nią będzie i czekał, kiedy ziemia ta ukochana przytuli go do siebie i ukołysze do snu wiecznego. Ale nie wszystkim danem jest do niej powrócić, jak nie wszystkie wracają do ziemi ojczystej bociany. Setki ich ginie w nurtach morza Śródziemnego, setki przepada w głębi Afryki nazawsze. Tak i ludzie, którzy wybierają się za morza, wiedzą, że Ojczyznę swą opuszczają, ale nigdy nie mogą powiedzieć, czy do niej znowu powrócą. Iluż to ginie wśród drogi, a ilu pochłaniają kopalnie lub ciężka praca w fabrykach!

A od ludzi ptaki są jeszcze szczęśliwsze, bo te powracają, kiedy tylko chcą, bo podróż nic ich nie kosztuje. A człowiek nieraz choćby chciał powrócić w strony rodzinne, to uczynić tego nie może, gdyż ani okręt, ani kolej nie przewiezie go bezpłatnie.



MACIEK BZDURA GADA:

Moze nie kuzdemu wiadomo, ze w Psiej Wólce jest nie ino kościół, ale i karcma. Bo jakazby to była wieś, w którejby karcmy nie było? Toby nie była polska wieś. W Polsce jest masa wsi, w których ani na likarstwo niema nawet najmniejsej kaplicki i gdy się cłek chce pomodlić, to nieraz i dwie mile musi iść do kościółka, ale znajdźcie mi wiele takich wsi, w którychby karcmy nie było! Jak się chces uchlać, to mas wszyćko pod ręką, jak się chces pomodlić, to śmigaj dwie godziny, nim na kościół natrafis. A ono juz jest tak chyba bez to, ze my więcej z djabłem trzymamy, anizeli z Panem Bogiem.

Psia Wólka o tyle jest lepsiejsa od inksych wsi polskich, ze obok karcmy ma i kościół. Jest to ogromna wygoda nie ino la parobków ale i la gospodarzy, bo jak który ma piniądze, to siedzi w karcmie, a jak ich ni ma, to idzie do kościoła. Ja ze tam z nikiem nie łubię zadzirać, to choć parę razy w roku idę do kościoła, to i o karcmie nie zapominam. Przy niedzieli nie, bo w niedzielę wysiadują tam same co honorniejse gospodarze, ale w dzień powszedni to casem zajrzę, aby się tego i owego dowiedzieć. Pić nie piję, bo ni mam za co, a choćbym i miał za co, tobym nie pił, bo przecie nima większego świństwa, jak gorzała, która pali w pysku i wnętrznościach, a zadnej pozytecności nie przynosi. Idę, aby posłuchać, co tam ludzie bają, bo wiadomo, ze są ludzie, którzy po trzeźwemu łżą, na cem świat stoji, a ino po pijaności prawdę rzeką. La posłuchania tej prawdy zaglądam od casu do casu do karcmy.

Wkiejsik, jak juz gospodarz z gospodynią wleźli pod pierzynę, a i Kaśka na wyrku łapy wyciągnęła, posedem do karcmy z Józkiem Przylaskiem, z tem, co to jego juz pirsa opowiedź z Baśką Holikówną w tamtą niedzielę wysła.

W karcmie nie było nikogo, ino sam Śmul kiwał się za synkwasem. Jak nas zuźrał, tak powiada:

— Co ja widzę? Co za goście! Pan Maciej i pan Józef! Co jabym takie szczęście miał, cy są gdzie na świecie porządniese ludzie. A co? Okowitki, cy haraku?

Ale Józek powiedział, co on nic pił nie będzie, bo przyobiecał Baśce, ze zadnego tronku ani do gęby nie weźnie.

Uśmichnął się Śmul, bo wiedział, ze takie obiecanki ino do ślubu są wazne a potem się gdziesi kajsi o nich zapomina, nie namawiał więc, ino zaraz zacął z Józkiem pogwarkę o jego zeniacce.

— Józek! — powiadał — ja wiem, co się ty zenis, ale powiedz mi, la cego ty się zenis z Baśką, a nie z Magdą, albo z Weronką, albo z Margośką, albo jesce z jaką inksą?

— Bo ją kocham! — odparł Józek.

— Aj waj! Kocham! Co to jest kocham? A skąd ty wiesz, że ty ją kochasz? Ja wiem, że tobie się podoba jej bieluśka gęba, jej zgrabne ręce, jej cienkie nogi, ale cy ją ty znas do środka, cy ty wies, jakie to jest, cego ty nie widzis? Ja ci powiadam, ze ty kochas ino pół Baśki, a nie całą Baśkę. I ta jedna połowa ci się podoba, a co będzie, jak ci się druga połowa nie spodoba? To taksamo jest, jakby kto kupił konia, któryby miał dwie nogi zdrowe, a na drugie dwie był kulawy!

— To, co jest na wirzchu u baby, to jest nic! — mówił dalej Śmul. — Jej trzeba zaglądnąć do środka! A to się nie da tak łatwo zrobić, bo przed ślubem to una kuzda, jak anioł, a dopiro po ślubie rożki jej wyrastają. La tego ja ci powiadam, że kto się chce na prawdę dobrze ożenić, to niech się żeni z piniądzami, a nie z babą. Kubita kużda to jest rzec znikoma: może być lub nie być, a majątek to grunt. Żona, choćby najładniejsa, to po jednem i drugiem dziecku styra się na nic, a piniądz i za sto lat będzie taki sam, jak dziś.

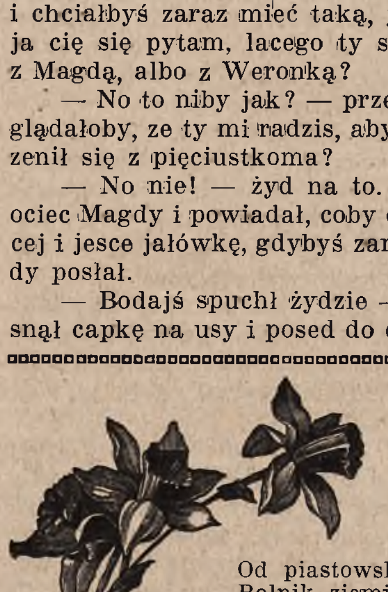
— Piniądz scęścia nie daje! — odzarł się Józek.

— Ja wiem, co on nie daje szczęścia, jak go nima, ale dać może, kiedy jest! I sam pieniądz, choćby nie wiem, jak wielki, jak będzie lezał schowany, to nigdy szczęścia nie przyniesie, ale trzeba tem pieniądzem umieć obracać. A do obracania pieniądzem jednych rąk zamało. Mąż powinien puszczać w ruch pieniądze, a żona powinna je umieć łapać z powrotem. A do tego musi ona mieć rozum. I dopiero taka baba jest dobra, co ma ten rozum. Ale ten rozum nie siedzi ani w bieluśkiej gębie, ani w zgrabnych rąckach, ani w cienkich nóżkach. Jego trzeba szukać tam we środku. Powiadają nase stare księgi żydowskie, że święty król Dawid miał pięćset żon i że wszyćkie były okrutecnie ładne, ale ino z wirzchu, o tem, jakie były we środku, nic nasze księgi nie powiadają. Widocznie niema o czem gadać. I choć to był król, a brał pięćset, aby choć jedną jaką taką znaleść. A ty bierzes jedną i chciałbyś zaraz mieć taką, jakiej ci potrza? Bez to ja cię się pytam, lacego ty się zenis z Baśką, a nie z Magdą, albo z Weronką?

— No to niby jak? — przerwał mu Józek. — Wyglądałoby, ze ty mi radzis, abym, jak was król Dawid, zenił się z pięciustkoma?

— No nie! — żyd na to. — Ale był tu wkiejsik ociec Magdy i powiadał, coby ci dał o dwie morgi więcej i jesce jałówkę, gdybyś zaniechał Baśki, a do Magdy posłał.

— Bodajś spuchł żydzie — wrzasnął Józek, nacisnął capkę na usy i posed do chałpy, a ja na nim.



Pobłogosław, Boże!

Od piastowskich czasów
Rolnik ziemię orze
I nuci piosenkę:
„Pobłogosław, Boże!"
Od wieków jej łono
Pług piastowski kraje,

Od wieków nam ona
Chleb powszedni daje.
Pobłogosław, Boże,
Tej pracy na roli,
Ona nam chleb daje
I goi — co boli...

St. G.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Cejlon I.



Anuradżapura. — Stary posąg Buddy.

W pobliżu najdalszego cyplu Indji Przedgangesowych leży wyspa Cejlon, również należąca do Anglji. Jest to jednak już zupełnie świat inny, w niczem prawie do Indji niepodobny. Indje, to kraj olbrzymi, pełen najdziwaczniejszych, niesłychanych pod każdym względem kontrastów. Znajdują się tam wszystkie możliwe formacje gór, równin rzekami zroszonych, bezwodnych stepów i pustyń; są tam wszystkie klimaty, od równikowego na południowej kończynie aż do lodowatego wśród najwyższych na świecie łańcuchów górskich. Natomiast wyspa Cejlon jest cała wielką równikową cieplarnią, z małem tylko pasmem gór i chłodniejszego wyżu w środku wyspy.

Podczas gdy w Indjach mieszka 100 rozmaitych ludów, mówiących stoma językami, to na Cejlonie jest jeden tylko lud, dawni władcy i mieszkańcy tej wyspy Singalezowie. Bo lud drugi, Tamilowie, których tu gęsto można spotkać, są to tylko przybysze z Indji za zarobkiem i ci stale się zmieniają.

W Indjach jest kilka potężnych liczbą religij, dzielących się na mnóstwo sekt i odcieni, zmagających się ze sobą od wielu stuleci, na Cejlonie panowała od 22 wieków jedna tylko religja, buddyzm, bez żadnego zresztą współzawodnictwa. Dopiero w najnowszych czasach wtargnął tam przyniesiony przez robotników hinduizm, zaś misjonarze katoliccy pozyskali również wielu wyznawców dla wiary świętej. Niema też wobec tego takich świątyń wspaniałych na Cejlonie, jak w Indjach, a często, jak to widzimy na naszym obrazku, święty posąg Buddy znajduje się osamotniony wśród drzew i krzewów.

Stolicą wysp Cejlon jest miasto Colombo, położone na wybrzeżu morskiem. Pierwszy widok miasta Colombo, z całym lasem palm różnorakich, poprzerzynanym drogami, wysypanemi czerwonym piaskiem, robi niezwykłe wrażenie. Trudno oddać słowami te orgje równikowej bogactwa roślinności, różnych tonów zieleni, form, barw i zapachów. Tyle w tem mieście łąk, jezior słodkich, ogrodów, tak wszystko tonie wśród zieleni i kwiatów, że przybyszowi z Europy niełatwo z początku uwierzyć, że wśród tego morza roślinności ukrytem jest miasto takiej wielkości, jak nasz Kraków, gdyż liczące około 200 tysięcy mieszkańców.



Cejlon. — Łodzie rybackie.

Pod względem religijnym jest Colombo obecnie już na pół katolickiem miastem. Jest tam znaczna ilość kościołów katolickich, wspaniała katedra i seminarjum duchowne, które z pośród Singalezów wychowuje kapłanów katolickich.

Jakkolwiek miasto jest jednym, ślicznym ogrodem, to i wsi okoliczne nie ustępują mu ani na krok w swej piękności. Wszędzie gęstwa palm kokosowych, arekowych, bambusów, drzew chlebowych, plantacje bananów, a wśród tłoczących się i bujających jedne nad drugimi drzew i krzewów, kwieciem różnobarwnym okrytych, błyszczą co chwilę wody jeziorek i stawów z szerokimi liśćmi, z kwieciem nenufarów i lotosów na powierzchni wód. Na jeziorkach tych kołyszą się łodzie rybackie, jak to widzimy na naszym drugim obrazku, a w gąszczu nad wodami lub tż obok drogi znajdują się ukryte w cieniu drzew liczne chatki Singalezów.

Drogi aż się roją od ludzi, a przedewszystkiem pełno na nich ślicznych, całkiem nagich, czekoladowych dzieci, śmiejących się i swawolących. Urocze są prawie wszystkie twarzyczki, o kędzierzawych główkach, czarnych, dużych, śmiejących się oczach i ząbkach, jak perły, ciągle widocznych w uśmiechu. Wieś Cejlonu jest prawdziwym rajem dla dzieci. Nie znają one tych gorzkich, dziecięcych tragedyj, jakimi są gniew rodziców, kary i rózgi. Dzieci tamtejsze nigdy na karę nie zasługują: łagodne z natury, nigdy się pomiędzy sobą nie pobiją; nie mogą podrzeć ani poplamić sukienek, bo ich całkiem nie noszą; w domu nic nie rozbiją ani nie zepsują, bo oprócz niewielu najniezbędnijszych sprzętów nic tam niema, naczynia

zaś są ze skorup kokosowych orzechów i stłuc tego nie można. Chłodu ani głodu nigdy nie cierpią: ciepło jest zawsze, a jedzenia wbród wszędzie. Owoców wszelkich zatrzęsienie; tylko rączkę wyciągnąć i nikt też tego dzieciom nie broni. To też na Cejlonie wszędzie widzieć można tylko śmiejące się twarze dziecięce, pełne szczęśliwości i radości życia!

Zabawni natomiast są tamtejsi inteligentni Singalezi, kiedy przyjdą na zabawę taneczną w swych wieczornych toaletach. Damy ubrane czysto po europejsku w balowych sukniach, głęboko wydekoltowanych różnią się tylko od naszych pań brunatną cerą skóry, natomiast mężczyźni wyglądają wprost dziwacznie: górą czarny europejski surdut i czarna krawatka, a dołem, zamiast spodni, biała lub czarna singalezka spodnica. Wygląda to bardzo śmiesznie, ale taki tam już zwyczaj. Zresztą Singalezom to do twarzy, gdyż mężczyźni tamtejsi są wprost śliczni, a strój napół kobiecy i wyfryzowane pukle bujnych włosów z grzebieniami w nich, podobniejsi są do niewiast i to niewiast pięknych, aniżeli do mężczyzn.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli" przez K. L.

— Dobrze, że pani przyszła. — rzekł stary, zacierając ręce z zadowoleniem.

— Może się pani ubierać przy mojej żonie. Z dziewczętami razem — to nie wypada pani.

Wkrótce była ubrana, znalazła nuty i szła ku drzwiom.

— Czekaj pani — ja panią poprowadzę, — zawołała za nią kobieta.

Poprowadziła ją długim kurytarzem, wreszcie stanęły pod drzwiami z poza których słychać było pusty krzyk.

— Tak, na lewo jest scena, proszę iść trochę w bok i usiąść sobie tam na stronie. Jeszcze jedno; nowicjuszkę zwyczajnie biorą dziewczęta na bas, to nic. Jeśli jednak będzie tego za dużo, proszę powiedzieć mężowi albo mnie, a my już zrobimy porządek.

Niemo patrzyła Iza jej w oczy. A z poza drzwi słychać było głośne wyhukiwanie.

Gospodyni popchnęła Izę ku drzwiom.

Blada szła na scenę.

— Popatrzcie no na nową! — zaskrzeczała jakaś zuchwała dziewka.

Iza zadrżała, padła na najbliższe krzesło.

— Życzy sobie może łaskawa panienka wody kolońskiej przeciw omdleniu.

Znowu śmiechy, chichoty. Zuchwale oglądano nową ofiarę ze wszech stron.

Ledwie nie zapłakała.

— Zamknijcie sobie pyski, ulicznice! — zabrzmiał głos stentorowy z dołu.

Dziewki nastraszyły się.

Iza rzuciła obrońcy wdzięczne spojrzenie.

Była to silna, nieokrzesana postać z ogorzałem obliczem i spracowanemi rękoma. Z ubrania znać było robotnika z kopalni.

Iza podeszła do fortepianu, podała nuty fortepianiście.

Jak królowa stała Iza na podjum, lekki rumieniec krasił jej lica. Pomału, leciuchno zaśpiewała swoją pieśń tęsknoty za ojczyzną i za polskim lasem, śpiew o miłości i wiośnie...

Za nią było słychać parskanie ze śmiechu.

Cisza w sali, kiedy skończyła pieśń.

Naraz, zerwała się burza oklasków.

Iza, dziękowała za oklaski.

Dziewki szalały z zawiści. Rzucały na nią kawałkami zmiętego papieru, a najzuchwalsza kupleciarka rzuciła na nią podstawką od piwa.

Dał się słyszeć ciężki krok, olbrzymi mężczyzna chwycił dziewkę z podjum i rzucił ją na salę.

Ukarana uciekła poza rudowłosego, tęgiego robotnika i poczęła coś cicho mu opowiadać.

Iza znowu śpiewała. Wreszcie usiadła spocząć sobie.

Wtem skoczył dziko wyglądający rudowłosy chłop:

— Hej ty, dziewczęta tu wszystkie są dla nas, chodź i ty wypij ze mną szklankę whisky. Skoczył na scenę i chwycił Izę brutalnie za rękę.

Iza broniła się z rozpaczą.

Ale tylko parę chwil. Naraz dały się słyszeć ciężkie kroki.

Kilku robotników rzuciło się na rudowłosego Irlandczyka i byliby go może zabili pod ciężkimi razami, ale na wstawiennictwo Izy, zostawili go silnie potłuczonego.

Irlandczyk, z trudem podniósł się i popatrzywszy dziwnem okiem na Izę, wyszedł.

Iza, wróciła ogromnie wyczerpana do domu; to też niebawem położyła się spać. Twardy sen ją zmorzył.

34. Straszne podejrzenie.

Iza miała ciężkie czasy do przebycia.

Skąpą płacę traciła na garderobę, pozostawało jej na życie bardzo mało. Często kładła się spać głodna.

Gospodyni zarzucała jej, że jest zanadto dumną i nieraz dała jej poznać, że liczyła przy najęciu pokoiku na inny zarobek.

Od kilku dni powodziło się jej jeszcze gorzej. Dziewki robiły jej różne nieprzyjemności.

Pewnego wieczora, ktoś polał jej suknię palącym płynem, wskutek czego suknia zniszczona była cała.

Iza poskarżyła się gospodyni, ta jednak wzruszyła ramionami i oświadczyła jej, że musi kupić nową suknię.

Zmuszona ostatecznością, musiała wydać ostatni grosz, aby miała w czem wystąpić.

Pewnego wieczora było w lokalu mało jeszcze gości.

Iza już raz wystąpiła. Teraz siedziała w garderobie, wyczekując znaku wyjścia na scenę.

Wtem weszła Maggie ze swoją koleżanką.

— Czego pani tu chce?

— Czy nie znalazłaś pani przypadkowo mojego pierścienia?

— Co to znaczy?

— Pierścienia, czy pani nie znalazła?

— Gdybym znalazła, oddałabym gospodarzowi. A teraz proszę się oddalić.

Pokazała im drzwi.

— Jeżeli pani nie zezwoli, to w takim razie przeszukamy same, to mówiąc, zaczęła różne drobiazgi przerzucać. Wreszcie znalazły pierścień w komodzie, który poprzednio same tam schowały.

— A ładnie! Nowa, harda pani, o, czem ona się bawi! Trzeba zawołać policję!

Iza, krzyknęła zdławionym głosem: „zawołać policję!“

Poczem padła zemdlona.

Za chwilę, zjawił się urzędnik policji i zapytał, kto skradł pierścień.

Śpiewaczki krzyczały jedna przed drugą, oskarżając Izę.

Popatrzył na jej bladą, piękną twarz, walczył widocznie ze sobą, lecz musiał wykonać obowiązek...



...I spowiadała się hrabiemu ze swych uczuć!

— Przykro mi, ale muszę panią pofatygować do strażnicy. Pomógł jej powstać, czuł nad nią litość instynktownie.

Naraz krzyknięto we drzwiach:

— Miejsce, zrobić miejsce.

Tęgie, kościste chłopy zjawili się we drzwiach.

— Co tu?

— No widzicie, to ta lalka pierścień mi skradła, znalazłam go w jej izbie.

— Kłamiesz! — wrzasnął młody jakiś górnik, chwycił ją za rękę jak żelazną klamrą. Tem, zmusił podłą kłamczynię do przyznania się, że sama pierścionek podrzuciła.

Gdy, na sali dowiedziano się o zmowie śpiewaczek przeciw Izie, powstała panika. Dziewczęta bito flaszkami i różnemi odpadkami.

Gospodarz przyszedł błagać Izę, aby powstrzymała rozhukane żywioły.

Iza stanęła na podjum.

— Moi panowie, — zaczęła drżącym głosem, — dziękuję za współczucie i proszę zaoszczędzić biedne dziewczęta. Winna już ukarana.

— Broń Boże, — wołano ze wszystkich stron, — mylisz się pani, one wszystkie należą do jednej bandy. Wszystkie były w zmowie.

— Proszę mimo to oszczędzić je. Dziś mię jeden ze zacnych robotników ocalił z niebezpieczeństwa dostania się do więzienia pod zarzutem kradzieży. Cieszę się tem i proszę o spełnienie mej prośby.

— Dobrze, ale tylko, dla pani to zrobimy. A wy tam dziewki precz stąd!

Jak wiatr uciekły przez otwarte drzwi.

— Dziękuję wam. Za to zaśpiewam nową wam piosenkę.

— Wiwat niech żyje nam piękna Emma!

— — — — — — — — — — — — — —

Iza siedziała w swym pokoiku, kiedy weszła gadatliwa jej gospodyni.

— Ależ te dzieci — dzieci! Chłopca naszego sąsiada przejechano, drugie znowu zgubiło się.

— Gdzie ? które? zgubiło się? — krzyknęła Iza, zerwawszy się z krzesła.

Gospodyni wpatrzyła się w nią.

— To pani nie czytała w gazecie, że przed kilku tygodniami zgubiła się dziewczynka od rodziców?

— Gdzie? mów pani, na miłość Boga!

— W prowincji Kolumbji, panienko!

— Kolumbja? — to napewno moja kochana Liddy. Tylko ona!

Gospodyni zdziwiona pokiwała głową, a po chwili wyszła.

W nieopisanym stanie była teraz Iza.

Musiała spieszyć na szukanie swego dziecięcia!

A jeśli to nie była Liddy? Trzeba się przekonać a tu znowu związana kontraktem, obawiała się pościgu policji. Opłakany stan!

Za godzinę musiała występować w swej budzie, — śpiewać pieśni, kiedy u niej zranione serce... bawić publiczność...

Straszno, straszno...

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Wreszcie odbyła swój obowiązek. Szła do domu. Jak zwyczajnie poprowadził ją Patty, który od chwili wstawienia się za nią stale jej towarzyszył. Szedł milczkiem obok niej.

— Pani dzisiaj płakała? — zapytał rzuciwszy na nią okiem.

Iza wtedy opowiedziała mu szczerze przyczynę swoich łez.

Po długiej przerwie zaczął Irlandczyk:

— Jeśli mi pani dzisiaj poświęci chwilkę czasu, to trochę przejdziemy się, a ja pani opowiem wszystko.

Zgodziła się na to.

— Widzisz mnie pani dzisiaj po raz ostatni, — rzekł rudy.

— Dlaczego?

— Uczyniłem dla pani z wdzięczności za nawrócenie na drogę uczciwą, coś takiego, co już na zawsze panią uwolni od zobowiązań, względem gospodarza kawiarni. Mianowicie, oddałem cały uczciwie zapracowany grosz adwokatowi na przeprowadzenie pani sprawy.

Poczem wręczył jej sakiewkę z pieniądzmi i ucałowawszy jej rękę oddalił się, uciekając przed podziękowaniem...

Iza mogła więc, teraz udać się na poszukiwanie Liddy...

35. Podczas ucieczki.

Pułkownik Rogers opuścił miejsce katastrofy prędko.

Połączył się niezwłocznie z policją nowoorleańską. Zwrócił się nasamprzód do Vicksburga, aby władzom podać obraz zbrodniarza, potem chciał się udać do M...o i C...i. Można było się spodziewać, że Norden musiał rzucić się do jakiego z wielkich miast, gdyż tam czują się złoczyńcy bezpiecznymi.

W tym celu udał się pułkownik na pokład parowca. Stanął na przodzie statku i patrzył na bałwany wodne, które niejako uciekały przed zdyszanym wodnym potworkiem.

Zamyślił się.

Naraz usłyszał poza sobą:

— Nie przeszkadzam, sennor?

Odwrócił się. Przed nim stała miluchna, młoda dziewczyna.

— Proszę, czem mogę się przysłużyć?

— Pan mnie nie zna, rzekła dziewczyna, — jam pana widziała raz tylko, ale wśród takich okoliczności, iż nie zapomnę o tem nigdy.

I wkrótce opowiedziała, iż była towarzyszką p. Luizy, po której śmierci, udaje się na nową posadę i pragnie z całej siły dopomódz pułkownikowi w odszukaniu zbrodniarza.

Pułkownik zgodził się na jej pomoc i w tym celu udali się razem w podróż. Pułkownik poprosił kapitana okrętu o wypożyczenie czółna, gdyż chodzi o pościg za wielkim zbrodniarzem.

Kapitan zgodził się, i wkrótce Rogers wraz z towarzyszką p. Luizy, Żanettą de Marpon udał się w podróż.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jakie życie taka śmierć.

Przyszedł na świat w czasie ogromnej zawieruchy śnieżnej. Ponieważ zdawało się, że niedługo będzie zabywał na ziemskim padole, nie zwlekano z chrztem, ale zaraz na drugi dzień go ochrzczono. Na chrzcie dano mu imię Pius. Wracając z kościoła wstąpili kumowie i babka z dzieckiem po drodze do karczmy, aby się zagrzać. A że przy takiej uroczystości nie wypada siedzieć przy próżnym stole więc też i kumowie nie darmowali, lecz wychylali jedną flaszkę za drugą z okowitą, przekąsając obwarzankiem i moskalami, pamiętali przytem i o babce, która ułożyła dziecko na pierzynie i włożyła mu do ust szmatkę z cukrem. Po wypiciu paru flaszek okowity, zmienili na herbatę z rumem. Rumieniec wystąpił im na lica, humor się spotęgował, powiększyła się wesołość, zaczęli pośpiewywać, alkohol zaczął działać.

Pierwsza wstała od stołu babka, zaplatając uczciwie nogami i zawyrokowała, że zdałoby się już odnieść dziecko matce, bo zaczyna kwilić. Powstali również i dobrze ucięci kumowie i zapłaciwszy rachunek opuścili we trójkę karczmę. Kuma wytrzymalsza na picie niż babka, wzięła ją pod pachę i prowadziła — kum mierzył powoli za nimi gościniec, taczając się od fosy do fosy.

Uszedłszy spory kawał drogi od karczmy, spostrzegła babka, że zapomniała dziecka w karczmie. Zostawiła więc kumów na gościńcu, a sama wróciła się po dziecko. Ci nie chcąc stać na zimnie, wybrali się wolnym krokiem naprzód aż doszli do domu rodziców dziecka. Za chwilę wróciła cała w śnieg obrana babka, rozwija chustkę, aby dziecko z niej wydobyć i matce oddać, niestety dziecka nie było, zgubiła go bowiem po drodze. Ojciec nie czekając, zarzucił na siebie kożuch i baranią czapkę i pędem puścił się na poszukiwanie dziecka. Niedaleko domu, leżało zawiniątko w śniegu. Zabrał je i przyniósł do domu, ale jeszcze żywe.

Chłopak ocknąwszy się z biedy, chował się dobrze, rodzice bogaci nie skąpili mu niczego, tem więcej, że był to jedynak. Do szkoły nie chodził. Przymusu szkolnego wtenczas nie było, więc poco miał się biedak męczyć skoro księdzem i tak nie będzie, a żyć bez nauki potrafi, tłumaczył sobie ojciec, bo dostanie po jego śmierci całe gospodarstwo i spory kawał gruntu.

Chłopak w miarę jak rósł, znajomił się z kolegami od siebie starszymi, a ci widząc pieniądze u niego, zaczęli wciągać go powoli do karczmy na „jednego". Syn wracał coraz późnej nocami do domu a czasem powrócił aż rano. Nie pomogły napominania i prośby rodziców, nie obeszło się nigdzie bez niego — na wesela, imieniny czy chrzciny jawił się sam nieproszony. Umarł tymczasem ojciec, zapisując mu cały majątek. Teraz rozhulał się na dobre. Matka dopóki mogła i potrafiła — gospodarzyła, wszystkiego jednak ubywało, gdyż syn tracił, gospodarstwo zaczęło upadać. Syn nie mając skąd czerpać na hulatykę pieniędzy, zaczął pożyczać, gdzie się dało. Po śmierci matki ożenił się z młodą, uczciwą dziewczyną. Zdawało się, że teraz zmieni tryb życia — niestety.

Z początku chodziła żona za nim i przyprowadzała go do domu, później zaś gdy została matką, pilnując dzieci, zaniechała tego. Odtąd zdarzały mu się różne wypadki. W lecie sypiał pijany, gdzie go sen zmorzył, w błocie, we fosie, pod drzewem przydrożnem, do którego często przywiązywali go chłopcy powrozem za nogę — wszystko jedno — w zimie było gorzej, gdy pewnego razu wracał nocą pijany do domu z jarmarku, zatoczył się i wpadł do rowu z wodą, jednak szczęściem dla niego w pozycji stojącej, z którego nie potrafił się sam wygramolić, lecz zdrzemnąwszy się, pozostał w nim do rana. Gdy się rano zbudził, nie potrafił wyciągnąć butów z wody, gdyż ta pokryła się grubą powłoką lodu, dopiero żona zobaczywszy to wyszła z siekierą, potłukła lód i jego uwolniła. Był jednak tak silnego zdrowia, że nawet nie zachorował po tym wypadku.

Miał jeszcze mnóstwo innych najróżnorodniejszych przygód. Wreszcie wybrał się pewnego tygodnia na targ do miasta. Zabawił w karczmie do późna w noc. Wracając znów pijany do domu, nie zauważył w nocy, przydrożnej, małej studni, obstawionej kamieniami, zupełnie nawet płytkiej, lecz potknąwszy się wpadł do niej głową na dół. Nie zdołał się jednak stamtąd wyratować i rano znaleźli go przechodnie utopionego, z głową w studni. Marną śmiercią zeszła ze świata ofiara alkoholu. Żona zamiast go żałować, zamówiła mszę św. dziękczynną, że Pan Bóg ulitował się nad nią i dziećmi i uchronił tym sposobem majątek od zupełnej zagłady *Piotr Wenc.*

Matka przyszła...

Nowela.

— Tak, bidaku, siroto! Matusia twoja miskała w Warsiawie, co jest najokrutniejse miasto w całym kraju. Pokiela ja tamoj służyła, matusia jesce sie dość ksepko tsymała, choć ta poksypiała często — ale ta jesce nie bardzo. Kiej mnie tatuś zabrali z Warsiawy, obiecała, ze do nas kiejsi na łato przyjedzie, ze kce być blisko lasu, ze to — widzis — zdrowiej niz w wielgiem mieście i mimo takiego jazgotu, jak tamoj... No i psijechała z tobą. Akurat rozpocena się wtedy wielga wojna na świecie i beło lato. Psijechała oddychać naskiem powietrzem, co to niby chorym lubuje.

— To mamusia moja byli chozy?

— A dyć! Chorowała na płuca. Jakąsik ta miała gruźlicę, cy jako. Wis, wypluwała płuca dorazu z krwią. Krzypota ją dusiła, ze rety! Ale mówiła, ze tutok się wygoi, no i bedzie zdrowa. Ponjezus inaksí

pseznacył i pomerła nieboracka, pomerła... Oj, ratyści, jak mi było luto, bo dobra była panicka! A tak kciała zyć... I pomerła... Nic jej poredzić nie mogłam. Cećjakie wazyłam zioła; piła — bo piła, ale nic nie pomogło...

— Pomerła! — powtórzył smutno chłopiec.

— A dyć, ino! pomerła!

— Pakoś to, ze nie bacę, kiej to było — choć ta cosik kajsik sobie psybacuję...

— Bedzie temu jus ze ćtyry roki. Fąfel byłeś jesce, mikrus taki maluśki. Harnasiłeś sobie całuśkiemi dniami, ka cie ta sitkie wiatry niesły. Nie stojałeś ta o nic — ani o matusię. Mikrus byłeś, głupi jesce i tyle. Honielnik taki, co ta jesce nic nie wi, co jako kany.

— Ale!

— Ale, hale! A cós — moze nie prowdę godom? Sceniocek jesce byłeś, sceniocek, co mu się sitko widzi jednako.

— A przecie jo matusię odrubeckę pamiętom. Taka była bieluśka na gębie, jak ten janioł, co jest na obrazku w chałupie... Pamiętom! Mówiła mi: Edek, Edziu, Edzisiu, abo Dziunek — i głaskała mnie po głowicce copochwila... ale nie boćkała[1]) ni razu i nie dała się boćkać... Powiadała, co nie wolno... Dlacego nie wolno?

— Bo to taka była u niej choroba, co od boćkania włazi i w drugiego. Dlatego!

— Aha, dlatego!

I chłopak znów się zamyślił... Aż naraz wybuchnął płaczem i narzekaniem: — O, matuś moja! matusiu!

— Cichoj, Edek! Nie bec, bo matusi bedzie cięsko na tamtym świecie. Beceć nie tsa — chlipanie nic nie pomoze... Modlić sie tsa za matusię!

— A jak się modlić?

— A tak: wiecne odpocywanie rac jej dać Panie!

— Wiecne odpocywanie rac jej dać Panie! — powtórzył chłopak kilkakrotnie.

— Bedzie jus, bedzie! — uspokajała go gaździna, sama płaczu bliska.

— Jo sie tak bedem modlił codziennie! A usłysy mnie matusia?

— Usłysy — i Ponjezus usłysy!

— A co Ponjezus dał tam matusi jak z hawtela posła do Niego?

— A dyć godałam: wiecne odpocywanie!

— E cós tak bedzie wiecnie odpocywać! Jo kcę, zeby do mnie wróciła. Cnie mi sie za matusią... Musi wrócić...

— O, nie wróci jus, nie wróci!

— A jo bedem piknie Ponjezusa pytał[2]) — to matusia wrócą...

— Nie pleć byle cego. Kto tamoj posedł do Ponjezusa, to go Ponjezus nie puści.

— A bedziecie widzieć, ze wrócą matuś i psijdą tu po mnie. Ponjezus puści. Matusia psijdą i mnie zabierom... No obacycie!

— A bedzies ty, wrodosiu, cicho! Kces, zeby sie Ponjezus ozgniwoł? Niek nie powim, tfy, cy cie zły opętał, cy jako?

— Moi pikni! Jo matusie psecie słysę jak chodzi po lesie, a woła: Edek! Edek! chodźze haw! Chodźze! — Poniekiedy to az pod samą chałpę psichodzi i w okno puka, jak ptosek, i woła: pójdź! pójdź! Roz widziołek, jak sie migło cosik za sybami, kieby łyskawica... To una moja matusia... Jo to wim! Tak, a nie inacy! Wtedy, co mnie tu z lasu psinieśli,

---

[1]) całowała. [2]) prosił.

to jo za nią sedł, za mamusią... Migała cichuśko po lesie, to tu, to haw, jak ten promycek słonecka... Leciałek za nią, leciał — uwaliłek kęs drogi... i nie dogonił. Tak było...

Gaździna aż się za głowę wzięła na to Edkowe majaczenie.

— Z'je! Cózes taki skirny dzisiok? Cy cie co wyonacyło? Wis, Edek, takby ci sie psyznać psidało, ze hej! Az cliwo słuchać! Nie godołbyś tsy po tsy... Cud się robi z takiem gadaniem! Ale ci jus musę darować, bo cós robić... Trudno ci sie prociwić[1]). Niekze, niekze... Ukotwiło[2]) ci sie za matusią, to tak ci sie hojco widzi, bidoku. Ale sie ta osatas[3]) pomalućku, osatas... Tylko nie tsa tak cięgiem ozmyślować... Smutkiem sie zyć nie godzi... Psecie ci tu w chałpie nicego nie chybia. Nikto do roboty nie ciąga. Juhasis se na ślebodzie[4]) jako ta kces...

— Dyć jo wom nie przyganiom. Psepytuje[5]) was piknie — psebaćcie! Moze to i prawda, ze godom tsy po tsy... Wybaccie i nie ozeźlijcie się na mnie. Psepytuję barz piknie, moiściewy! Pewnikiem, jak godacie, cosik mnie pseonacyło i zwiduje się mi hejcejco!

— A tak ci jest, tak, nieboraku! Kucno[6]) ci — i tak sie robi... A jakze! Te wołania po lesie: pójdź! pójdź! — to nic inksego, ino sowy. Une tak, psiobrzyćkie, hucą i śklamzą. I dźwierz ma swoje dogadanie, jak i człek... A inó! Sowa nic nie znacy. Moze se wołać, jako ta kce i umi — to nic nie znacy. Dotela bedzies tu cłeku zył, pokiela cie Ponjezus nie zawoła — a nie sowa. Tak pętaku! A jesce ci powim, ze na taką dumacke, jak twoja, to nalepse lekarstwo — robota, harówka! Jak sie cłek urobi, ze az z pazdurów ledwie krewicka nie cieknie, to sie go ta nijaka dumacka nie tsymie. Tyś ta jesce nie wielgi, to cie ta do roboty nie naganiom, ale wiele tele zająłbyś sie cem nie cem i dumacka posłaby prec od ciebie.

---

[1]) sprzeciwić. — [2]) zatęskniło. — [3]) opamiętasz się. — [4]) swobodzie. — [5]) przepraszam. — [6]) przykrzy ci się.

(Dokończenie nastąpi).

Procesja Bożego Ciała.



Szum chorągwi górą leci,
Biją bębny, dzwonki dzwonią,
Sypią kwiaty małe dzieci,
Czyste kwiaty czystą dłonią.
Szum chorągwi wzdłuż polata,
Echa pieśni w dal się szerzą,
Płyną z wieścią na kraj świata,
Że kochają, że tu wierzą!
Echa pieśni w dal się niosą,
Do kwitnących łąk kobierca,
I zachodzą oczy rosą,
I wzbierają łzami serca.
I powraca tłum niezmierny,
Co się duchem w słońcu pławi —
Siwy Pasterz lud swój wierny
U wzniesienia błogosławi.
Błogosławi ludzkiej doli,
Co jak szara nić się mota,
I tych wszystkich, których boli
Nędza ziemi i żywota!
Błogosławi kwietnym łąkom,
Błogosławi żyznym łanom,
I wieszczącym świt skowronkom,
I ginącym w mgłach kurhanom!
Błogosławi wielkie dusze,
Dusze ludzi dobrej woli,
Co w światowej zawierusze
Sieją ziarna w Bożej roli.
Tym, co wiary spokój czerpią,
Gdy się targa pierś rozpaczą,
I tym wszystkim, którzy cierpią,
I tym wszystkim, którzy płaczą!...

Or-Ot.

Poradnik lekarski.

Już kilkakrotnie zwracali się do nas Czytelnicy z zapytaniem, po czem można poznać rozwijającego się u człowieka raka? Zamiast odpowiadać każdemu z osobna, zamieszczamy dzisiaj ogólne uwagi o sposobach rozpoznawania raka.

Jak wiadomo, rak jest najczęstszą i nagroźniejszą z chorób nawiedzających ludzkość; choroba ta przyprawia o śmierć co roku miljony ludzi. Chcąc zmniejszyć więc śmiertelność należy się zapoznać z zasadniczemi objawami cierpienia, aby już przy pierwszem podejrzeniu bezzwłocznie udać się po poradę do lekarza. Rak może zaatakować każdy narząd i każdą część ciała, wykazując w swoim początku rozmaite objawy. I tak:

Rak piersi. Najczęściejszym objawem raka piersi jest guzek lub stwardnięcie w gruczole piersiowym lub też krwawy wyciek z brodawki. Nie wszystkie guzy na piersi są rakowate, lecz jedynie lekarz może odróżnić guzy rakowate od nierakowatych i pamiętać należy, że guzek nierakowaty nieusunięty, może przejść w raka.

Rak skóry rozpoczyna się jako małe okrągłe lub płytko wzniesione owrzodzenie lekko krwawiące, które nie goi się i rośnie. Niekiedy rak skóry objawia się w postaci guza podobnego do kalafjoru.

Rak wargi zdarza się często u mężczyzn, wyjątkowo u kobiet; przeważnie usadawia się na dolnej wardze (w miejscu, które podlega trwałemu podrażnieniu, jak na przykład wskutek chropowatej i gorącej fajki do palenia lub gorącego dymu cygar). Rak dolnej wargi objawia się jako bezbolesne powierzchowne owrzodzenie. Owrzodzenie takie nie goi się, rośnie, po pewnym czasie zaczyna krwawić i przekracza granice wargi.

Rak języka tworzy się z początku jako szczelina na gładkim brzegu języka. Często umiejscawia się koło zepsutego, chwiejącego się lub ostro zakończonego zęba; bólu przeważnie nie powoduje. Stopniowo szczelina posuwa się w głębi wszerz, brzegi stają się nieco twardsze, niż reszta języka. Jest to najodpowiedniejszy moment do przeprowadzenia leczenia, bo o ile rak wtedy nie jest usunięty, po paru miesiącach tworzy się mały gruczoł wielkości grochu, stopniowo występuje przykry zapach ust i nadmierne ślinienie, a ruchy języka stają się utrudnione.

Rak nosa i gardła. Najwcześniejsze objawy są: a) obrzmienie nosa, które może przeszkadzać przy przechodzeniu powietrza przez porażoną część nosa; b) zwiększenie się wydzieliny ze strony porażonej; c) krwawienie z nosa lub z ust; d) miejscowe bóle głowy. Objawy te zjawiać się mogą w jednym i tym samym czasie lub stopniowo, a celem dokładnego zbadania tych objawów należy nie zwlekać z poradą lekarską, gdyż rak nosa rośnie bardzo szybko.

Rak krtani. Najwcześniejsze objawy tego cierpienia są zmiana głosu, trudności wymowy, uczucie niewygody w gardle, a czasem kaszel. Jeżeli ból występuje, ma charakter ostry i promieniuje do krtani, później zjawia się bezgłos i ból przy połykaniu, jak również wykrztuszenie cuchnącej plwociny. Jeżeli otaczające mięśnie i gruczoły są zaatakowane, wówczas następuje obrzmienie karku.

Objawy raka na innych częściach ciała podamy w następnym numerze „Roli".

KRONIKA.

Podwyżka cen tytoniu. W ubiegłym tygodniu ceny tytoniu zostały niespodziewenie podwyższone. Nowy cennik tytoniu przedstawia się następująco: Pursitczan i Hercegowina w paczkach po 100 gramów 15 zł. (dawniej 14 zł.) Kir 12 zł. (dawniej 10'60), Xanti 10 zł. (dawniej 9 zł.), Macedoński 7'60 zł. (6 zł.), dalej w paczkach 25 gramowych: najprzedniejszy turecki 1 zł. 40gr. (dawniej 1'20), przedni turecki 1 zł. 10 gr. (90 gr.), średni 90 gr. (76 gr.), kresowy 70 gr. (60 gr.). Tytonie fajkowe po 25 gramów paczka: przedni 40 gr. (38 gr.), zwykły 30 gr. (28 gr.), kapral 60 gr. (56 gr.), machorka 60 gr. (55 gr.), kapitan 1 zł. 60 gr. (1'50 zł.). Tabaczka przednia 50 gr. (dawniej 36 gr.). Cygara oraz papierosy pozostały na razie w tej samej cenie.

Niespodziewanej tej podwyżki cen tytoniu niczem usprawiedliwić nie można. Tytoń polski w stosunku do swej jakości był już i tak za drogi, Należało więc nie podwyższać cen tytoniu, ale ulepszyć jego jakość. Podczas gdy ceny innych produktów stoją mniej więcej w jednakiej cenie, ministerstwo skarbu coraz to z nowymi wychodzi podwyżkami jak kolei, spirytusu, opłat pocztowych, cła, tytoniu i t. d. Odbija się to najdotkliwiej na ludności niezamożnej.

Burza gradowa. Z Miętustwa koło Czarnego Dunajca piszą nam: Dnia 13 b. m. o godzinie pół do 12 przed południem przeciągnęła nad Miętustwem straszna nawałnica z silnym wiatrem. Huk piorunów, szum wody, bicie gradu i trzask łamanych drzew czyniły hałas nieopisany. Spadł grad wielkości włoskiego orzecha, pokrywając pola na 20 do 60 ctm. Sady i gaje zostały z gałęzi ogołocone, zasiewy częścią zamulone, częścią zabrane z ziemią aż do twardej gleby. Oziminy i łąki zostały zmieszane z ziemią i grubo zamulone. Wielkie masy wody pozalewały obory tak, że z trudem udało się ocalić bydło, mimo to utopiły się 3 sztuki. Ofiar w ludziach nie było, chociaż o mało nie uległa nieszczęściu A. Miętusówna, którą porwał silny prąd wody i uniósł kilka metrów. Szczęściem zobaczył tonącą syn sąsiada i uratował ją już prawie nieprzytomną. Szkody materjalne są ogromne. Klęską zostało objętych ponad 2.000 mórg. Ludności zagraża nędza. Spodziewać się należy, że województwo przyjdzie dotkniętym tą klęską z wydatną pomocą.

Krwawe zajście pod Samborem. Ministerstwo spraw wewnętrznych otrzymało zawiadomienie, iż do jednej ze wsi pod Samborem w województwie lwowskiem zajechała onegdaj komisja ze starostą na czele celem wydania orzeczenia, która część łąk gminy ma być zalesiona. Zjazd komisji wywołał wzburzenie ludności ukraińskiej, która w liczbie przeszło 100 osób obległa komisję w budynku gminy, skąd wywlokła kilku jej członków i dotkliwie ich pobiła. Sytuacja została opanowana dopiero po wezwaniu 20 policjantów i aresztowaniu głównych prowodyrów. Z pośród zatrzymanych 11 osób odesłano do więzienia w Samborze. Tego samego dnia około godz. 10 wieczorem tłum zebrał się ponownie przed posterunkiem policji, żądając uwolnienia aresztowanych. Jeden z demonstrantów został postrzelony przez policjanta w chwili, gdy Ukrainiec zamierzał go rozbroić. Na miejsce przybyły władze województwa lwowskiego.

Okradzenie kasy sądowej. Z Kołomyji donoszą: Do biura mieszczącego dwie kasy wertheimowskie z depozytami i licami sądowemi włamali się nieznani sprawcy i po rozbiciu kas zabrali ich zawartość w postaci gotówki i precjozów. Gotówki większej na szczęście w kasie nie było, gdyż została odwieziona do kasy skarbowej, z depozytów natomiast wartości kilku tysięcy

wybrali tylko lepsze i drogocenniejsze. Złodzieje dali się zamknąć w budynku sądowym, by potem niespostrzeżeni przez nikogo swobodnie mogli operować. Najpierw wybili dziurę w murze przez wyjęcie cegieł i tą drogą dostali się do wnętrza przez korytarz, gospodarowali tam „skutecznie“ przez kilka godzin. Niepłoszeni opuścili „gościnne“ mury sądowe i przez okno, wychodzące na ul. Kraszewskiego ulotnili się z łupem. Wszystkie oznaki wskazują na to, że w niniejszym wypadku ma się do czynienia z „fachowcami“.

Oberwanie się chmury. Z Borszczowa donoszą, iż nad tamtejszym powiatem przeszła w ubiegłym tygodniu silna burza z niezwykle ulewnym deszczem i piorunami. Wskutek oberwania się chmury wezbrały wszystkie okoliczne strumienie. Szkody wyrządzone przez wylew są ogromne. Woda zamuliła pola i ogrody, silny prąd porwał kilka zabudowań gospodarczych wraz ze zbożem i inwentarzem i zerwał trzy mosty prywatne. W samym Borszczowie woda zalała szereg mieszkań. Podobnie katastrofalny deszcz przeszedł nad powiatem brzeżańskim, gdzie na przestrzeni kilkuset morgów ulewny deszcz wymył doszczętnie całe zasiewy.

Katastrofa budowlana w Warszawie. W ubiegły wtorek około 3 popołudniu wydarzyła się przy ulicy Smoczej 31 w Warszawie katastrofa budowlana. Oto z powodu naruszenia fundamentów sąsiedniej budowli, zawaliła się poprzeczna oficyna przy ul. Gęsiej 61, przygniatając dwóch robotników, którzy zostali zasypani gruzem i cegłami na wysokość trzech metrów. Na miejsce katastrofy przybyły dwa oddziały straży ogniowej. Pierwszego robotnika Jana Mateja wydobyto w ciągu 15 minut, drugiego Adama Skibińskiego po 30 minutach. Obaj robotnicy doznali ciężkich obrażeń cielesnych. Prowadzącego roboty majstra Feliksa Feista, odpowiedzialnego za katastrofę, aresztowano.

Świętokradztwo. Poraz drugi już w ciągu stosunkowo krótkiego czasu złodzieje warszawscy dokonali świętokradczych wypraw na kościół św. Stanisława na Woli. Przed kilku tygodniami włamali się do kancelarji kościelnej, w ubiegłym tygodniu zaś przez okno wtargnęli do samego kościoła, gdzie rozbili puszkę do składania ofiar, skąd zrabowali trochę drobnej monety. Sumy na razie nie ustalono. Ponadto złodzieje zrabowali z ołtarza vota w postaci dwóch sznurów sztucznych korali, poczem zbiegli. Dochodzenia prowadzi policja.

Niezwykły wypadek. W Grodziskach pod Warszawą wydarzył się niedawno niezwykły wypadek. Sześcioletni Ryszard Osiecki wpadł pod pociąg, który przejechał nad nim, nie wyrządzając mu najmniejszej szkody.

Wybuch dynamitu pod Zawierciem. W Kamionce pod Zawierciem w cementowni „Wysoka“, nastąpił wybuch ładunków dynamitowych, którego ofiarą padło 20 osób ciężko i lżej rannych. Olbrzymie głazy, belki, deski i narzędzia wyleciały w powietrze na wysokość 10 metrów, poczem spadły na ziemię, grzebiąc pod swemi gruzami 20 osób. Dopiero nadbiegłej natychmiast pomocy robotniczej udało się przy użyciu narzędzi wydobyć pokrwawione ciała ofiar. Na szczęście wszystkie ofiary są przy życiu. 8 osób ciężko rannych.

Napad bandytów na dwór. Z Wilna donoszą, że do majątku Turły (pow. wileńsko-trocki), należący do J. Kotwica, wtargnęli bandyci, którzy chcieli podpalić majątek i pozabijać mieszkańców. W porę zauważeni bandyci rzucili w odległości 75 metrów dwa granaty ręczne, które powybijały szyby w oknach, ale na szczęście nikogo nie zraniły. Bandyci ratowali się ucieczką w obawie przed pościgiem żołnierzy Korpusu O. Pogr. Na miejscu wybuchu znaleziono dwa odłamki blachy ze śladami parafiny. Oddziałom KOP. udało się przytrzymać w lasach kilku podejrzanych osobników.

Zwyrodniała zbrodniarka. Z Katowic donoszą: Niejaka Puchałowa Stanisława z Małej Dąbrówki, nie mogąc się w żaden sposób zemścić na sąsiedzie Pradelskim Piotrze, z którym miała częste kłótnie, widząc przechodzącego jego trzyletniego synka, pchnęła go ze złości do stojącej na korytarzu wanny z gotującemi się mydlinami, gdzie dziecko znalazło straszliwą śmierć wskutek poparzenia. Na przedśmiertelny krzyk dziecka nadbiegli mieszkańcy domu, przytrzymali zwyrodniałą zbrodniarkę i oddali ją w ręce policji.

Tragiczna śmierć pod kasztanem. Niecodzienny wypadek zdarzył się w niemieckiej miejscowości Prötzel w słynnym parku barona von Eckhardsteina, w którym hodowane są białe jelenie. Do parku barona udała się wycieczka, złożona z 17 członków jednego z licznych klubów berlińskich, a mianowicie klubu „Kiclerbucht“. W chwili gdy uczestnicy wycieczki przechodzili w pobliżu muru, ogradzającego park, 100 letni kasztan, stojący poza obrębem parku z ogłuszającym trzaskiem przewrócił się, spadając w stronę przechodzących i pogrzebał pod swemi konarami 6 osób. Karol Kodowski, 20-letni szewc, Polak, poniósł śmierć na miejscu, czterech mężczyzn, wśród nich prezes klubu, uległo ciężkim, jedna kobieta lekkim ranom. Przyczyny nagłej katastrofy dotychczas nie wyjaśniono. Drzewo, którego pień mierzył półtora metra obwodu, runęło podczas zupełnej ciszy w powietrzu.

Stracenie „cara“ Michała. W jednym z poprzednich numerów „Roli“ pisaliśmy o aresztowaniu na Ukrainie samozwańczego cara Michała i postawienie go przed sądem w Humaniu. Gazety rosyjskie przynoszą obecnie bliższe szczegóły o życiu i działalności owego „cara“. Mykita Żmurczuk, ów samozwańczy car, jest włościaninem z okolic Berdyczowa. Do rewolucji był on sanitarjuszem w szpitalu wojskowym. W r. 1918, podczas demobilizacji, Żmurczuk ukradł większą ilość medykamentów oraz narzędzi lekarskich i wędrując od wsi do wsi, przedstawiał się jako lekarz, zarabiając w ten sposób na życie. Ale niebawem sprzykrzyła mu się ta praca. Wchodzi niebawem do włościańskich organizacyj kontrrewolucyjnych i tu niedługo potem „zdradza“, że jest carem Mikołajem II. Z uwagi na swoje podobieństwo do zamordowanego cara, znajduje wiarę w swojem otoczeniu. Uważając, że car powinien posiadać koronę i berło, „poddani“ jego ofiarują mu 6 i pół funta złota, aby sobie mógł sporządzić brakujące akcesorja carskie. Działo się to w roku 1925, w czasie przebywania „cara“ w okręgach jekaterynosławskim i kozoryjskim. Następnie przeniósł się on na Humańszczyznę. We wsi Synycia jawił się pewnego dnia na zebraniu kontrrewolucyjnych organizacyj w koronie na głowie i z berłem w ręku i przedstawił się zebranym jako car Michał. Do pomocy przybrał sobie swoją znajomą Zenobję Sucharową i namówił ją, aby odgrywała rolę jego córki Olgi. Bolszewicy szukali go czas długi, aż wreszcie zdołali go ująć w Michałowskich Chutorach. Aresztowano z nim ową rzekomą córkę Olgę i 31 jego zwolenników. Sąd w Humaniu skazał „cara“ Michała i większość aresztowanych na śmierć. Zginął on od kuli bolszewickiej, ale akcja wszczęta przez niego na terenie Humańszczyzny idzie coraz dalej. Do organizacji, założonej przez Żmurczuka, należy dziś wielka ilość chłopów, którzy czekają tylko stosownej chwili, aby rzucić się na znienawidzonych bolszewików.

Upały na Syberji. Według ostatnich wiadomości z Rosji panują na Syberji ogromne upały. Gorąco dochodzi tam do 40 stopni powyżej zera. Takiej tempera-

tury w maju dotychczas tam jeszcze nigdy nie stwierdzono. A jeszcze przed 2 i pół miesiącami było tam 40 stopni mrozu.

Brak chleba w Moskwie. Na pewnem zebraniu robotniczem w stolicy bolszewji, w Moskwie, oświadczył jeden z przywódców bolszewickich, Sorokin, że Moskwa posiada tylko zapasy zboża i mąki na 35 dni. O ile w ciągu tygodnia nie nadejdą nowe przesyłki, całe miasto pozostanie bez chleba. Już teraz postanowiono zmniejszyć porcję wydzielanej mąki i chleba o połowę. Nawet we fabrykach rządowych i w wojsku zmniejszono przydział chleba i wprowadzono kartki na chleb. Głód stoi przed drzwiami i bolszewicy łamią głowę, jak mu zaradzić.

Pożar miasta. Donoszą z Tokio, stolicy Japonji, że miasto Funatsu w prowincji Gifu jest zupełnie zniszczone przez pożar, który pochłonął około 1.200 domów. Istnieją obawy, że mnóstwo ludzi spłonęło. Wielkie rozmiary pożaru tłumaczą się tem, że domy tego miasta były zbudowane z drzewa.

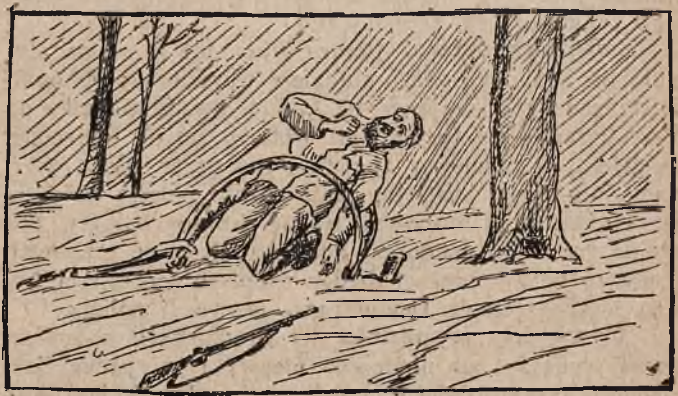
Święta wojna z bolszewikami. Były emir Buchary, zamieszkały w Harecie, ogłosił wojnę świętą przeciw Rosji sowieckiej wspólnie z chanem Chiwy i dżenajkchanem i w porozumieniu z Habibullahem w Afganistanie. Emir Buchary wydał odezwę do narodów Buchary, Chiwy i obwodów królestwa Samarkandy (Turkestanu), które pozostały wierne Islamowi, wzywając je do zrzucenia jarzma bezbożników i gwałcicieli. Na czele wojsk połączonych, na mocy wspólnego porozumienia, staje książę Ibrahim Bek. „Jeżeli Allah — brzmią słowa wezwania pod broń emira — uwieńczy powodzeniem naszą świętą wojnę i połączy w jedno państwo bratnie narody od Persji i morza Aralskiego do Batchaszu i Iszyk-Kul, za zgodą narodów zjednoczonych stanę na czele tego państwa, aby zaprowadzić w niem pokój i porządek. Po naszej stronie walczyć będą z komunistami-bezbożnikami Rosjanie, synowie tej Moskwy, która zwyciężyła nas w swoim czasie w szlachetnej otwartej walce. Zawarłem przymierze z nowym emirem Afganistanu Habibulahem przeciw zdrajcy Islamu Amannullahowi. Wierzymy, że wraz z nami powstanie przeciw władzy sowieckiej również i naród rosyjski". W związku z wypadkami na południowym wschodzie rząd sowiecki zarządził dalsze wysyłanie wojsk nad granicę Afganistanu.

Olbrzymia powódź w Iraku. Z Londynu donoszą: Irak, kraj w Azji, nawiedziła olbrzymia powódź, która pochłonęła życie tysięcy ludzi. Zarówno Tygrys jak też Eufrat wystąpiły z brzegów i pędzą gwałtowną falą naprzód, zmiatając wszystko po drodze. Miasto Basra jest zagrożone. Lotnicy, którzy przelatywali nad krajem objętym powodzią, donoszą, że zamienił się on w bezbrzeżne morze, z którego wystają tylko domy i wieżyczki meczetów zatopionych miejscowości. Powódź jest tak olbrzymia, że zapewne długich tygodni trzeba będzie, aby wody odpłynęły.

Plaga szarańczy. W północnych okolicach Afryki, a zwłaszcza w Algierze i w Oranie, pokazały się w ostatnich czasach niezwykle liczne gromady szarańczy, które wprost całemi chmurami zaległy poszczególne tereny. Kolonialne władze francuskie, chcąc zapobiec straszliwym szkodom, wyrządzanym przez najazdy szarańczy, rozpoczęły obecnie bezwzględną walkę z niszczycielskimi owadami, a to przy pomocy specjalnych miotaczy ognia, oraz przez rozpylanie w powietrzu trujących kwasów. Koszta tej walki pochłonęły już przeszło 12 miljonów franków — mimo to jednak szarańcza w dalszym ciągu grasuje bardzo licznie, wyrządzając wszędzie dotkliwe straty.

Niebywały pościg za bandytami. Przed paru dniami dokonano w Buenos Aires niezwykle zuchwałego napadu bandyckiego na urzędników Banku Narodowego, którzy wieźli w samochodzie większą sumę pieniędzy. Napad odbył się istotnie w okolicznościach niebywałych, na jednej z ruchliwych ulic miasta. W chwili, gdy ukazał się samochód bankowy, na spotkanie ruszyło olbrzymie auto, w którem siedziało sześć osób. Skoro oba samochody się zrównały, z auta, jak się okazało, bandytów, wyjrzała lufa kulomiotu i w jednej chwili auto bankowe zostało zasypane gradem kul. Ciężko ranny szofer zwalił się na ulicę. Rabunek dokonany został błyskawicznie. Łupem bandytów padła suma pół miljona piastrów tureckich. Na odgłos strzałów przyjechały na miejsce auta policyjne, jednak bandyci byli już daleko i zdołali wydostać się na szosę poza obręb miejskich posterunków policyjnych. Zaalarmowano lotnisko, skąd wystartowały samoloty policyjne. Po krótkim pościgu jeden z samolotów wyśledził samochód bandytów, mknący szosą. Pilot zniżył lot, policjanci zaczęli z góry prażyć samochód z karabinu maszynowego. Bandyci w panice, nie mogąc walczyć z napowietrznym wrogiem, porzucili auto i wraz z większą częścią zrabowanej gotówki usiłowali ratować się ucieczką. I to im się jednak nie udało, gdyż patrole policyjne, zawiadomione drogą radjową przez pilota o miejscu znajdowania się bandytów, wnet ich przytrzymały. Wypadek ten, wykazujący skuteczność nowoczesnych środków technicznych w walce z bandytyzmem, żywo jest omawiany na łamach prasy amerykańskiej.

Złapany w zatrzask. Straszną śmiercią zginął pewien myśliwy w Meksyku. Nastawił on zatrzask na niedźwiedzie, które w tamtych okolicach są bardzo liczne, potknął się jednak i padając, trącił rękoma sprężynę nastawionych paści.



Silne żelazne obręcze zamknęły się natychmiast i zupełnie ubezwładniły nieszczęśliwego, który umarł zapewne śmiercią głodową, z zupełną świadomością, że niema dlań ratunku. Ciało jego, nadszarpane przez dzikie zwierzęta, znaleziono w odległości 30 klm. od siedzib ludzkich. Tożsamości zmarłego nie stwierdzono.

Nowe sposoby karciarzy. W Hollywood, w Kalifornji, tamtejsza policja zupełnie przypadkowo odkryła nowy sposób, jakim posługują się oszuści karciani. Uwagę policji zwróciła okoliczność, że niektórzy gracze przeważnie wygrywający, używają w czasie gry kolorowych okularów. Spróbowali tego również detektywi i oto okazało się, że jest to doskonały sposób wygrywania. Oszuści używali do gry kart znaczonych na odwrotnej stronie specjalnym niewidocznym dla zwykłego oka atramentem, lecz widocznym wyraźnie przez kolorowe okulary. W ten sposób pomysłowi posiadacze kolorowych okularów zapewnili sobie sowite wygrane i doszczętnie ogałacali nieprzeczuwających podstępu partnerów. Ogranych niema co jednak bardzo żałować, gdyż najlepiej nie grać w karty o pieniądze.

RZECZY CIEKAWE.

Dlaczego nie jadamy owadów?

„Petit Journal“ zabawia swoich czytelników powyższem zagadnieniem, dziwiąc się, dlaczego nie nauczyliśmy się dotąd spożywać ślimaków, gąsienic i tym podobnych przysmaków. Uczeni twierdzą, że ciała owadów zawierają wiele substancyj pożywnych, popierając teorję praktyką. I tak znany astronom Lalande udawał się zawyczaj przed obiadem do ogrodu i tm zjadał kilka tuzinów świeżych gąsienic, wybierając najtłuściejsze okazy — dla nabrania apetytu. Na stole jego znalazł się zawsze zamknięty koszyczek, pełny pająków, o których astronom twierdził, że przypominają mu najdelikatniejszy smak orzechów, gąsienice zaś — migdałów.

Znaną również jest rzeczą, że mieszkańcy Peru uważają pewien gatunek gąsienic jedwabnika za największy przysmak. Indjanie brazylijscy łakomi są znów na gąsienice, żyjące na liściach bambusu, inni lubują się w glistach, mrówkach, poczwarkach i t. d.

Kongres paryski przyrodników zajmował się w swoim czasie bardzo gorliwie tą kwestją. Uczeni zgodzili się jednomyślnie na ten pewnik, że młode chrząszcze majowe stanowią doskonałe pożywienie, podając nawet przepis przyrządzania z nich zupy. „Bierze się — radzą francuscy Ćwierczakiewicze — pół kopy chrząszczy, tłucze się je w moździerzu i przeciera przez sito. Do lekkiej zupy dodaje się wody, do cięższej — oliwy. Przyprawiona osobnym posmakiem z główek, należy ta zupa do najwybredniejszych przysmaków naszego stołu“. Radzą dalej przyrządzać ciasteczka z mrówek. Należy tylko wybierać gatunek czerwonych, jako smaczniejszy.

Pewien angielski podróżnik ułatwił nam nawet zadanie zasiadania do uczt nowożytnego Lucullusa, podając menu, zasługujące w każdym razie na uwagę. Składają się nań następujące dania: Zupa z chrząszczów, solone ślimaki, czerwone mrówki z oliwą i octem, świerczyki smażone na maśle, szerszenie na mleku, paszteciki z gąsienic, ciasteczka z czerwiu i pszczół w miodzie. Biorącym udział w takiej uczcie można tylko życzyć — dobrego apetytu!

Figle przyrody.

Nieraz zdarza się — że na świat przychodzi dziecko z dwiema głowami albo ze zrośniętemi palcami albo z jeszcze innem dziwactwem. Wtedy w całej okolicy ludzie o tem mówią — a niektórzy przepowiadają — że z dziecka tego wyrośnie potwór, albo nawet Antychryst. Tymczasem natura nieraz płata ludziom figle. A jeszcze więcj potworków mamy w świecie zwierzęcym.

Bardzo ciekawy wypadek miał pewien kupiec kolonjalny w małem — łotewskiem miasteczku Lucynie. Gdy rano wszedł do sklepu zobaczył na podłodze osiem malutkich szczurów. Jak wielkiem było jego zdumienie, gdy spostrzegł — że szczury te są ze sobą zrośnięte ogonami! Gdy spostrzegły ludzi chciały rozbiec się na wszystkie strony — ale nie mogły. Przyszli ludzie i zamiast szczury te przesłać do jakiegoś muzeum, pozabijali je kamieniami.

Drugi — niemniej dziwny wypadek zobaczył pewien uczony podczas podróży na wyspach oceanu Wielkiego. W jednej z wiosek tamtejszych mieszkańców odnalazł rodzinę, w której wielu członków posiadało u rąk i nóg zamiast paznogci długie i ostre pazury jak dzikie zwierzęta. Było to już w tej rodzinie dziedziczne — jednak nie wszyscy jej członkowie mają te pazury — na 9 dzieci posiadało je pięć.

Pazury te są bardzo przykre dla tych dzikich — bo utrudniają im chodzenie i pracę. Tylko w butach do tego przyrządzonych mogą chodzić a i z rękami mają bardzo dużo kłopotu.

Takie to dziwolągi i potworki tworzy nieraz natura.

Jak długo żyją wielcy ludzie?

Najwidoczniej sława i satysfakcja ze spełnienia wielkich czynów są zgoła nienajgorszym środkiem na osiągnięcie dość późnego wieku. Świadczyć o tem może zestawienie długowieczności wielu sławnych ludzi, zarówno wodzów, uczonych i mężów stanu, jak poetów, pisarzy i malarzy. Wielu z nich doczekało sędziwego wieku, a większość przekroczyła znacznie 50 rok życia. Z pośród znakomitości żyli:

Wodzowie: Moltke 91 lat, Wellington 83, Bernadotte 80, Blücher 72, Dżingis-Chan 72, Marlborough 72, Marjusz 71, Timur-Chan 68, Temistokles 65, Hannibal 63, Napoleon I 51;

Uczeni: Humboldt 89 lat, Newton 84, Platon 82, Kant 79, Gallileusz 78, Kopernik 70, Leibnitz 70, Sokrates 68, Arystoteles 62, Hegel 61, Kartezjusz 53;

Pisarze: Sofokles 90 lat, Ksenofont 86, Voltaire 84, Goethe 83, Hugo 83, Corneille 78, Herodot 76, Eurypides 74, Petrarka 70, Rabelais 70, Eschyles 69, Cervantes 68, Milton 65, Scott 61, Racine 59, Horacjusz 57, Dickens 57, Dante 56, Szekspir 52, Wirgiljusz 51, Moliere 51;

Mężowie stanu: Talleyrand 84, Bismark 83, Disraeli 75, Fryderyk Wielki 74, Karol Wielki 71, Waszyngton 67, Cyceron 63, Cromwell 59, Richelieu 57, Cezar 55;

Malarze: Tycjan 99 lat, Michał Anioł 89, Rubens 63, Velasquez 61, Holbein 57, Van Dyck 52;

Muzycy: Haydn 77 lat, Händel 75, Palestrina 70, Wagner 70, Bach 65, Beethoven 56.

Prawodawcy: Konfucjusz 71 lat, Luter 68, Mahomet 62, Kalwin 54.

Najstarszy rodowód.

Rodzina irlandzka O'Malley może się bez wątpienia z pewną dumą poszczycić, że posiada najstarszy rodowód. Jak odnośny angielski urząd państwowy stwierdził, rodzina ta posiada dokumenty, sięgające wstecz do roku 365 po Chrystusie a wykazujące, że pochodzi od królów Irlandji, którzy tam panowali już za czasów, gdy Rzymianie zdobywali Brytanję, jak się wówczas Anglja zwała. Nazwa obecna rodziny jest przekształceniem nazwiska króla Milesiusa, który był królem keltyckim, panował zrazu w Hiszpanji a następnie z biegiem losu przeniósł się do Irlandji.

Najstarsza gazeta.

Najstarszą stanowczo gazetą jest urzędowy dziennik chiński „Gazeta Pekińska“. Gazeta owa państwa niebieskiego wychodzi regularnie już zgórą lat tysiąc. Nietylko jednak dziennik ten poszczycić się może wiekiem tak sędziwym, niemniejszym bowiem jego tytułem do chwały jest okoliczność, że niemniej, jak półtora tysiąca jego redaktorów oddało głowy pod miecze katowskie.

Strasznie więc niebezpiecznie było otrzymać od bogdychanów Chin zaszczytny tytuł redaktora „Gazety Pekińskiej“.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Piotr Rabczyński** w O.: Twierdzenie, że w dawnych czasach inaczej oznaczano czas, aniżeli dzisiaj, nie jest twierdzeniem antyreligijnem. I tu pomiędzy nauką a wiarą niema żadnej sprzeczności. Przecież i „Genezis“ nigdzie nie oznacza, jak długo trwał rok za czasów Adamowych, wolno więc uczonym snuć dowolne obliczenia. Czy takie, czy inne obliczenie jest słuszne, trudno to dzisiaj udowodnić. Jeżeli jednak popatrzy Pan na starca stuletniego, to sam Pan przyzna, że trudno przypuścić, aby Adam żył 930 lat takich, jakie mamy obecnie. Stając w obronie wieku Adamowego, wie Pan zapewne, iż wiele rzeczy, dotyczących wiary świętej, można sobie bez grzechu rozmaicie tłomaczyć, a jedynie to, co Kościół uznał za dogmat, jest prawdą nieomylną i w nią pod groźbą grzechu ciężkiego wierzyć się musi. A wiek Adama nie jest przecież dogmatem. Wynika z tego, że nie ma Pan grzechu, jeżeli twierdzi, że Adam żył 930 lat takich, jakie są dzisiaj, jak nie ma grzechu i ten, który powiada, że Adam żył 77 lat, lub gdyby powiedział, że żył 50, albo 80, a choćby nawet i tysiąc. — **Jan Smaza** w Z. i **Jakób Jeziorański** w K.: Zagadki zużytkujemy. — **„Jasnowłosa“** z Tarnowa: A możeby mi Pani jaki ładny obrazeczek na pamiątkę przysłała? Przypominałby mi on zawsze młodą moją przyjaciółkę, która tak lubi malować. Dobrze? — **Franciszek Śmigielski** w P.: Wierszyki, chociaż miłe, posiadają jeszcze pewne usterki, wobec czego nie nadają się do druku. Może dalsze próby będą zupełnie dobre. Prozę przysłać można. — **Andrzej Dej** w W.: Gdyby Pan zobaczył naszą teczkę z wierszami, nie dziwiłby się, że i jego utwory tak długo w niej leżą. Nie znaczy to jednak, aby nie nadawały się do druku. I obecnie nadesłane są dobre i kiedyś ukażą się w „Roli“. — **Janka Welońska** w Z.: Nie trzeba nigdy rozpaczać! Zdaje się tylko Pani, że on był najlepszy i że nikogo już Pani kochać nie zdoła. Najlepszy dowód, że nie był najlepszy to to, że dla pieniędzy skierował swe afekta ku innej, zapominając o Pani. Kiedyś, gdy ktoś inny, jeszcze godniejszy, zjawi się na drodze życia Pani, wówczas sama Pani przyzna, że o zdrajcy ani myśleć nie warto! Otrzyć łezki i patrzyć w przyszłość z pogodą, to nasza rada. Dwadzieścia lat, to zaledwie ćwierć życia ludzkiego. — **Mazur Michał** z L.: Pomyłka sprostowana. Numerów od N. Roku nie mamy wszystkich — brak nam Nr. 6 i 7; o ile Pan życzyłby sobie bez tych dwu numerów to prosimy napisać a wyślemy. — **Jan Banaś** z P.: Adres kupna blachy: M. Zabawa ul. św. Krzyża 20. — **Honorata** i **Izydor Kubkowie** w G.: Na listy odpowiemy w następnym numerze w odpowiedziach redakcji.

PODZIĘKOWANIE.

Złożony ciężką chorobą udawałem się do różnych doktorów w Połtawie, Czernigowie, Kiżowie jednak bezskutecznie. W jednej z lecznic w Brześciu po prześwietleniu oznajmiono mi, że mam na żołądku narośl, celem usunięcia której konieczna jest operacja, którąby za 50 dolarów przeprowadzono. Operacji jednakże się nie poddałem nie tyle, że kosztowna ile z obawy, że jej nie przetrzymam, ale udałem się jeszcze do WPana Dra Med. Tarasowa w Sławatyczach (woj. lubelskie), który zbadawszy mnie orzekł, że mam w sobie tasiemca (solitera) i z niego w krótkim czasie mnie zupełnie wyleczył nie narażając mnie przy tem na większe koszta, za co tą drogą składam Mu najserdeczniejsze podziękowanie.

BAZYLI HAPUNIAK,
Dubica, gmina Domaczewo, pow. Brześć n/B.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożyła „Studentka“ z Tarnowa).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Spinka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Owoc.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Obojętność.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kościół mahometański.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Pieniądz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Szyderstwo.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Zbiór ustaw.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Poemat Homera.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ustęp w poemacie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Upiór.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Złudzenie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Łódka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kłótnia.

Litery początkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko poety polskiego.

2. Szarady.

(Ułożył Jan Gara z W.).

I.

W sławnych norach i jaskiniach gry
Są karty wspak pierwsze, wprost trzy,
Czwarte wspak, pierwsze ma rada
W miarę trzecie czwarte używać wypada;
Gdy zabrzmi drugie czwarte słowy
Zobaczysz, tłumu obnażone głowy,
Całość to sztuka, nie każdy nią włada,
A jednak ją zgadnąć wypada.

II.

Wspak pierwsze, wprost trzecie
Towary pakują na świecie
W rządach kształcone osoby
Dzierżą drugie trzecie;
A dobrze o tem wiecie
Gdzie całość tam leczą choroby,
Cierpienie ginie, sił nowych przybywa
Jak się ta placówka nazywa?

III.

(Ułożył Franciszek Macioł z S. B.).

Pierwsze litera,
Drugie roślina,
Trzecie znaczyć nic nie będzie.
Całość czytać możesz wszędzie.

3· Zagadka układanka.

(Ułożył Jakób Jeziorański z K.).

A, a, a, b, b, k, k, ł, ł, m, m, o, o, y, y.

Z powyższych liter ułożyć zdanie, które czytane wprost i wspak da jednakowe brzmienie.

4. Przestawianka.

(Ułożył Jakób „Dołęga“).

Bie dio ga ły głu gą ty i ro ny ski z ko piec zum trum wciąż czą ny do bo dny kro.

Z powyższych sylab ułożyć myśl.

5. Układanki geograficzne.

(Ułożył Adam Galer z K.).

Drzewo + więzienie = miasto.

Przystań na morzu + samogłoska + Francja po łacinie = miasto w Europie.

Zabawy + miara powierzchni + samogłoska = wyspy.

Rzeka + wie inaczej + spółgłoska = miasto w Polsce.

Ukrop + zaimek = rzeka w Polsce.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Łupież + litera = roślina.

Imię słowiańskie = Miasto w Polsce.

Spółgłoska + litera grecka = karta.

Samotny + las = miasto w Małopolsce.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 8 czerwca.

Znaczenie zagadek z Nru 20 „Roli“: 1. Logogryf: Juljusz Słowacki-Balladyna-Mazepa. 2. Szarada: „Niech żyje redaktor „Roli“ Bassara. 3. Zagadka układanka: Kobyła ma mały bok. 4. Zagadka zecerska: Kto Ojczyźnie swej służy, sam sobie służy.

Rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Józef Drąg z R., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Jan Lose z M. K., Jan Smaza z Z., Irena Kaczorówna z T., Franciszek Rajca z T., Józef Rodak z T., Bronisława Bryniarska z H., Jakób Jeziorański z K., Franciszek Macioł z S. K. i Czesław Wośkowski z U.

Nagrody wylosowali pp.: Franciszek Macioł z S. K. i Józef Drąg z R.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

W sądzie.

— Włamanie to zostało dokonane z takim wyrafinowaniem, z taką inteligencją, oraz...

— Bez komplimentów, panie prokuratorze, gadajmy rzeczowo!

Strata czasu.

— Nie rozumiem, jak możesz codziennie grać w te karciska, przecież to istna strata czasu!

— A tak, żonusiu, szczególniej podczas tasowania kart.

Humor wilków morskich.

— Mógłby się kapitan ogolić. Aż przykro patrzeć na waszą gębę — taka rosochata.

— Co robić. Od tygodnia żywi się człowiek tylko śledziami, to mu ości zewsząd wyłażą.

— Wytłomacz mi Jasiu dlaczego w protestanckim hymnie powiedziane jest, że pijacy wybrali najszerszą drogę z tych, co wiodą do piekła.

— A bo proszę pana księdza psora, pijak się zatacza, to musi mieć dużo miejsca.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 25 maja b. r.

Pszenica .	46·00—46·50	Słoma długa	8·00— 9·00
Żyto .	26·50—27·70	Ziemniaki stoł.	5·50—6·50
Owies . .	29·50—30·00	Koniczyna nasienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	25·00—26·00		
Fasola biała	150·00—180·00	Mąka żytnia	44·50—46·50
Groch zwyk.	50·00—53·00	Mąka pszen.	76·00—76·50

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 25 maja b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·34 do 1·80 zł.	Jałownik	od 1·20 do 1·76 zł.
Woły . .	od 1·30 do 1·90 zł.	Cielęta .	od 1·16 do 2·55 zł.
Krowy .	od 0·93 do 1·70 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·60 do 2·75 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·80 do 3.60